NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 3 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

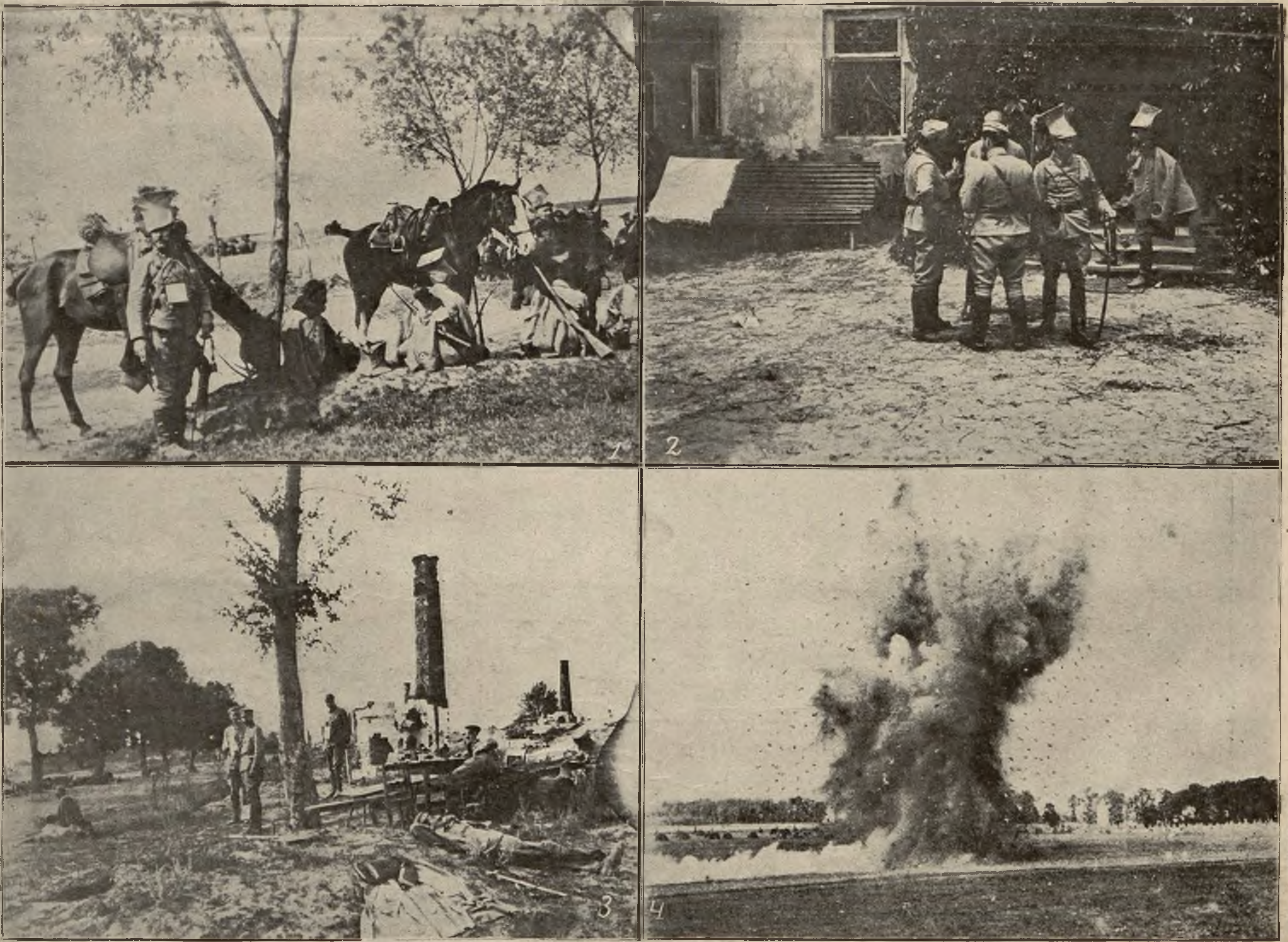
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 2 października 1915. Nr. 40.

Z walk w Polsce.



Pierwsza brygada Legionów polskich w Lubelskiem: 1) Odpoczynek kawaleryi. 2) Major Żymirski i rotmistrz Bylina z adjutantami przed wkroczeniem do Lublina. 3) Zburzona wieś w Lubelskiem. 4) Wybuch granatu, sfotografowany z odległości dwudziestu pięciu metrów.

Od Administracyi.

Z numerem niniejszym rozpoczynamy IV-ty kwartał XII-go roku naszego wydawnictwa. Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto prenumeraty do **6 października** nie nadeśle, następnego numeru już nie otrzyma.

Do niniejszego numeru dołączamy dla P. T. Prenumeratorów w Austryi czeki pocztowej Kasy Oszczędności celem ułatwienia im nadsyłania przedpłaty.

Prenumeratę **z Austryi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego (dawniej Nowowiejska) 95** (dom własny).

Prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Rocznie	16 koron	17·—	marek
Półrocznie	8 „	8·50	„
Kwartalnie	4 „	4·25	„

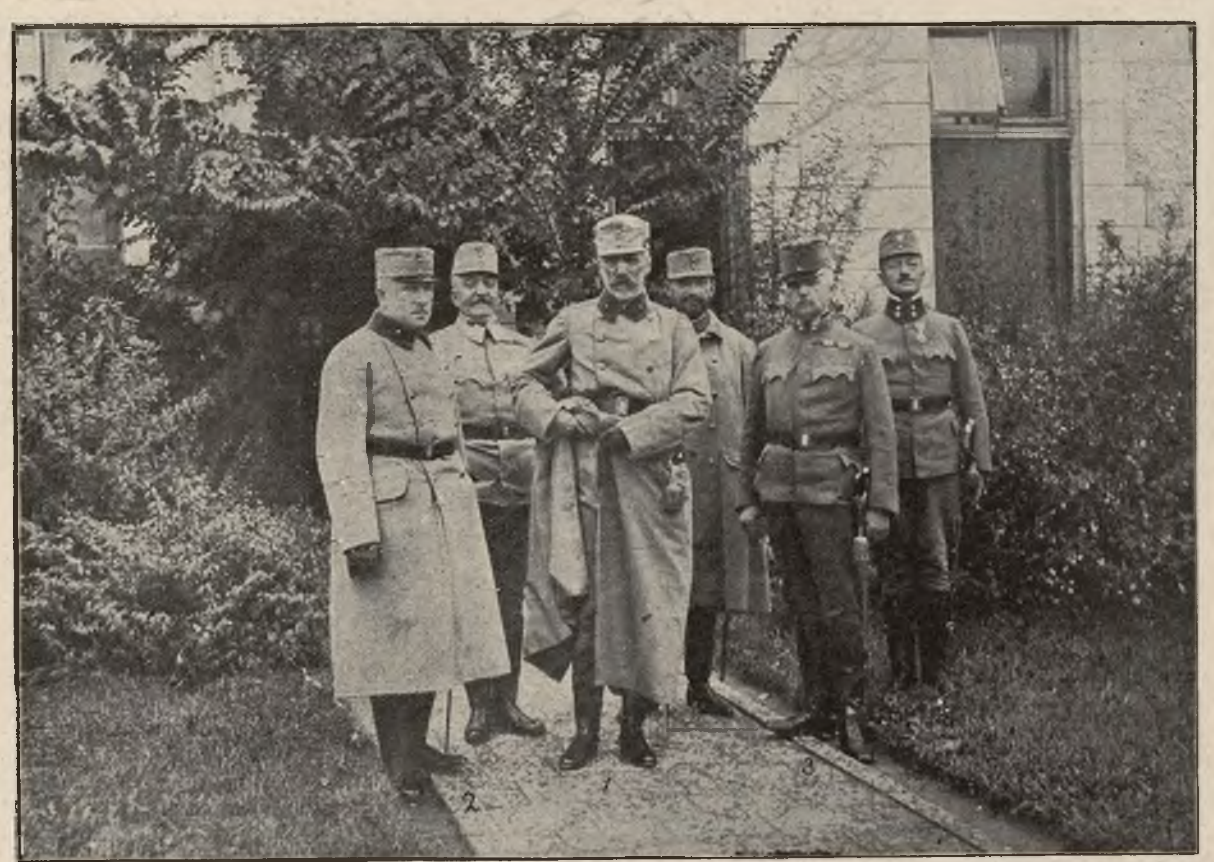
Z walk w Polsce.

Olbrzymi bój, który rozpoczął się na ziemiach polskich ofenzywą w Galicyi, toczy się dalej, przynosząc ciągłe zwycięstwa armiom sprzymierzonym. Nieprzyjaciel cofa się w głąb Rosyi, a wszelkie jego wysiłki, aby powstrzymać pościg, kończą się dla niego klęskami i nowemi hekatombami ofiar...

W tych walkach, które były punktem zwrotnym w obecnej wojnie, a które rozegrały się w Polsce, okryły się nową sławą Legiony polskie. Jak wiadomo, pierwsza brygada Legionów pod dowództwem Piłsudskiego odznaczyła się wybitnie przy wypędzeniu Rosyan z Lubelskiego i pierwsza zajęła Lublin. W dzisiejszym numerze zamieszczamy też szereg zdjęć z działalności bojowej Legionistów w Lubelskiem.

Prócz tego podajemy fotografię z pierwszych dni tej wielkiej ofenzywy, która dziś odnosi nowe sukcesy na Litwie, mianowicie z walk o odzyskanie Przemyśla. Jest to patrol saperów, złożona z porucznika Hackbeila, kaprala Jelinka, saperów: Ulanowskiego, Gwizdura, Jugendfeinda i Słowika, która pierwsza wdarła się do jednego z zachodnich fortów Przemyśla w nocy z 2-go na 3 go czerwca b. r. Dzielni saperzy w ciągu trzech poprzednich nocy w silnych, potrójnych zasiekach drucianych wysadzili ekrazytem odpowiednie dla piechoty bramy do szturmu, usunęli cały łańcuch min, zbudowali przejście przez rów obronny, naszpikowany całym szeregiem przeszkód, jak wilcze doły, krzyże druciane i t. d., aż do samego wału obronnego, który też ta patrol pierwsza przekroczyła, posługując się przytem ręcznymi granatami.

Ze takie usuwanie przeszkód, odbywające się tylko nocami przy świetle nieprzyjacielskich reflektorów, pod ogniem piechoty, karabinów maszynowych i ciężkich dział, wymaga wiele przytomności umysłu, zimnej krwi i odwagi, nie potrzeba dodawać. To też wszyscy ci dzielni saperzy z komendantem patroli, porucznikiem Hackbeilem (cywilny geometra z Tarnowa) zostali podani do odznaczenia.



Z wojennego szpitalnictwa: Arcyksiążę Karol Stefan ze Żywca (1), po zwiedzeniu krakowskiego szpitala garnizonowego. Obok szef sanitarny twierdzy, dr. Otto (2) i komendant szpitala dr. Michel (3).



Cmentarz wojenny we Lwowie: Ogólny widok cmentarza. (Fot. M. Münz, Lwów).



Rotmistrz Bylina (w czaku).

Z walk w Polsce: Pierwsza brygada Legionów polskich przed wkroczeniem do Lublina.
Brygadyer Piłsudski (X) ze sztabem.

Major Żymirski.

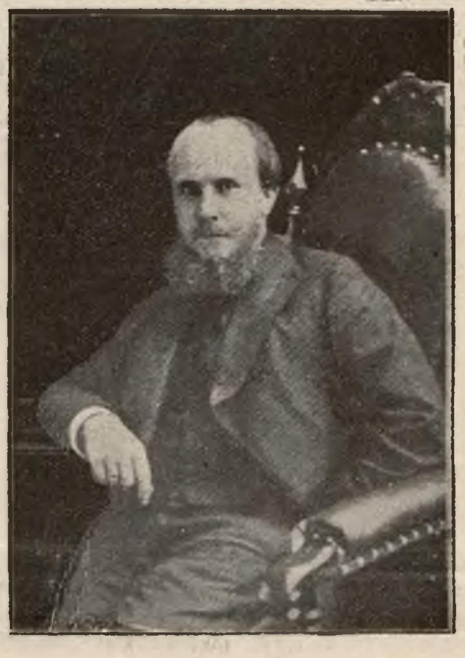
Cmentarz wojenny we Lwowie.

W niedzielę, dnia 19. września, odbyło się we Lwowie poświęcenie cmentarza wojennego. Na uroczystość tę przybyli liczni dygnitarze duchowni, wojskowi i cywilni, a aktu poświęcenia dokonał ksiądz W. Varady, który poświęcił najpierw krzyż drewniany, potem monument kamienny (który wystawił z własnej inicyatywy Lwowianin A. Bojanowski, kamieniarz), wreszcie cmentarz.

Po obu stronach obszernej i piaskiem wysypanej alei znajdują się udarniowane i przybrane kwiatami groby. Cmentarz, nad którym góruje osiemnasto metrowy krzyż dębowy z napisem: 1914—1915, przedstawia się pięknie i smutnie zarazem.

Zgon dyrektora Pawlikowskiego.

W ostatniej chwili, już po zamknięciu numeru, otrzymaliśmy smutną wiadomość o zgonie dyrektora Tadeusza Pawlikowskiego. W ostatnich czasach zachorował wprawdzie poważnie, nikt jednak nie spodziewał się tak rychłej katastrofy.



Zgon dyrektora Pawlikowskiego: S. p. Tadeusz Pawlikowski, dyrektor teatru krakowskiego.

Scena polska ma zmarłemu wiele do zawdzięczenia. Nie był to zwykły przedsiębiorca, prowadzący teatr dla zysku, lecz prawdziwy artysta, czego dał dowody, kierując teatrem lwowskim i na dwa zawody krakowskim. Na te imprezy poświęcił prawie cały swój majątek, postawił też oba teatry na prawdziwie europejskim poziomie.

Zmarł, licząc lat pięćdziesiąt pięć.

Zgon artysty.

W dniu 16. września zmarł w Warszawie jeden z najwybitniejszych i najpopularniejszych artystów dramatycznych polskich, Władysław Wojdałowicz.

Był to artysta pierwszej wody, który, dzięki wybitnemu talentowi, zajął w sztuce polskiej pierwszorzędne stanowisko i cieszył się wyjątkowem uznaniem i sympatyą polskiego ogółu w Krakowie i Warszawie. Szereg jego kreacyi w sztukach rdzennie polskich utrzyma się długo w tradycyach teatru naszego i aktorstwa.

S. p. Wojdałowicz urodził się w Poznaniu w roku 1855. Po ukończeniu szkół średnich pierwsze kroki



(Fot. M. Münz, Lwów).

Cmentarz wojenny we Lwowie: Widok z cmentarza na miasto.



Obrazki wojenne: Bicie wołu przez maskę dla kuchni polowej.

stawiał na poznańskiej scenie, niebawem jednak przeniósł się do Krakowa, gdzie wówczas teatr, pod dyrekcyą Koźmiana, znajdował się w stadyum największego rozkwitu. Bardzo rychło wybił się tutaj w rolach charakterystycznych na pierwszorzędne stanowisko i stał się ulubieńcem publiczności, jako niezrównany odtwórca zwłaszcza świetnych typów w sztukach Fredry, Bałuckiego i Blizińskiego.

Żegnano go też z niekłamanym żalem, gdy przed laty trzydziestu opuścił krakowską scenę, przenosząc się do Warszawy.

I tutaj, jako artysta teatrów rządowych, wstępnym bojem zdobył sobie ogólne uznanie, obejmując wraz z Frenklem repertoar charakterystyczny.

Przed dwoma laty uczciła Warszawa swego ulubieńca pięknym wieczorem jubileuszowym.

Smutny koniec „oswobodziciela" Galicyi.

Słynny jenerał-gubernator Galicyi, graf Bobrinskij, jak donoszą z Kijowa, został tam umieszczony w jednem z sanatoryów, zdradza bowiem silne objawy obłąkania. Jest to niewątpliwie skutek przykrej niespodzianki, jaka go spotkała w Galicyi. Sprowadził już tu całą armię popów i czynowników, zabrał się energicznie do urządzenia gubernii rosyjskich, przyjmował nawet cara na „rdzennie rosyjskiej" ziemi galicyjskiej, gdy nagle po tych tryumfach musiał zabrać swe manatki i uciekać z „niegościnnej" Galicyi... Tego ciosu nie mógł widocznie przenieść jej „oswobodziciel" i musiał z urzędu jenerał-gubernatorskiego powędrować do domu obłąkanych.



Cmentarz wojenny we Lwowie: Pomnik na cmentarzu, ufundowany przez A Bojanowskiego.

Gość z Ameryki.

W tych dniach mieliśmy zaszczyt powitać w naszej redakcyi sympatycznego gościa z Ameryki, pana N. L. Piotrowskiego, syndyka miasta Chicago. Przybył on do Krakowa, jako wysłannik pism amerykańskich, dla zwiedzenia zniszczonych ziem polskich i zainteresował się tym materyałem illustracyjnym, jakim, odnośnie do pożogi wojennej w Polsce, rozporządzają „Nowości Illustrowane".

W czerwcu roku bieżącego opuścił pan Piotrowski Amerykę i udał się do Londynu, gdzie informował się w sprawie polskiej, następnie przez Norwegię i Szwecyę wyjechał do Petersburga. Tu miał interwiewy z wybitnymi reprezentantami rządu, między innymi z Goremykinem i z przywódcami polskimi. Następnie udał się do Bukaresztu i do Sofii, gdzie również z reprezentantami rządów rumuńskiego i bułgarskiego mówił o sprawie polskiej.



Gość z Ameryki: N. L. Piotrowski, syndyk miasta Chicago.

Wszędzie, jak zapewnia pan Piotrowski, spotkał się z sympatyą dla sprawy polskiej. Z Rumunii przybył pan Piotrowski do Wiednia i tu też konferował z wybitnemi osobistościami rządowemi. Odbył też konferencyę z ministrem eksc. Morawskim, prezesem Koła polskiego, eksc. Bilińskim i z księciem biskupem Sapiehą. Obecnie objeżdża p. Piotrowski Galicyę dla naocznego przekonania się o strasznych skutkach inwazyi rosyjskiej, a następnie udaje się do Królestwa Polskiego.

Zadaniem p. Piotrowskiego, Polaka, urodzonego w Ameryce i przedstawiciela opinii publicznej amerykańskiej, jest zebranie dla amerykańsko-angielskich pism materyałów, wykazujących grozę zniszczenia, i zdobycie ofiarności na cele ratunku. Belgia — oświadczył p. Piotrowski — mniej zniszczona od Polski, otrzymała z Ameryki 60 milionów dolarów, więc mamy nadzieję, że większa jeszcze ofiarność należy się Polsce.



Z walk w Polsce: Legiony w polu.

Spodziewamy się, że akcya, podjęta przez pana Piotrowskiego, wyda pomyślne owoce, witamy Go też szczerze i serdecznie na tej biednej ziemi polskiej, na którą przybył, aby koić jej rany.

JÓZEF LASOŃ.

HEJ, KTO POLAK...

Z CYKLU: NASI UŁANI.

(Obrazek z 1915 roku).

2

Owoc dojrzewał już w sadach, zżęte zboże zwożono do stodół, kiedy armia rosyjska przesuwać się poczęła przez lubelskie, koncentrując swe siły na Galicyę.

Dwór Czabarskiego, mimo, że od głównego traktu dość daleko był położony, przez chmary żołdactwa rosyjskiego często był odwiedzany. Przyszła jedna chmara, parę dni przekwaterowała, wyłapując kury i wszelki drób, ścinając drzewa owocowe na opał, po niej przychodziły inne, niszcząc i zabierając wszystko, co tylko dało się zabrać. Czabarski gonił za komendantami, aby zażalenia wnosić, które czasami skutkowały. Zbigniew ponuro patrząc przez okno, jak żołnierze niszczyli sady, pilnował sióstr, które przerażone rzadko kiedy wychodziły z pokoju.

Tylko ciotka Albina nie traciła głowy, bezustannie wymyślając żołnierzom po rosyjsku. Przyszli do kuchni, prosząc o chleb. Dalejże ciotka na nich, pytając, czy swego nie mają.

Z kieszeni powyciągała łyżki niklowe, posrebrzane, a pokazując im, wymyślała:

— O wy złodzieje! Chleba chcecie, a łyżki kradniecie! Paszoł won!

Posypał się z ust ciotki grad wyzwisk, wymyślań i Moskale chyłkiem wynieśli się z kuchni.

Jednego wieczoru poczęli rąbać parkan, otaczający sad. Dojrzał to Zbigniew, krzyknął na żołnierzy, ale ci, nic sobie z tego nie robiąc, rąbali dalej. Dopiero ciotka Albina, przechodząc przez podwórko, widząc co się dzieje, jak skoczy do pierwszego żołnierza, krzycząc:

— Chodź do komendanta!

— Komendant kazał!

— Chodź do komendanta!

Zbudzony hałasem wyjrzał kapitan rosyjski, pragnąc się dowiedzieć, co się stało. Ciotka Albina, ujrzawszy kapitana, poczęła się uskarżać na żołnierzy, nie szczędząc im wymyślań i wyzwisk. Kapitan wysłuchawszy płynnej przemowy ciotki, roześmiał się i kazał wybatożyć żołnierzy. Ciotka, odchodząc z tryumfującą miną, zwraca się do żołnierzy pytając:

— No, co, kazał komendant dać wam kije, czy nie?

— Czort tebie pobieri!

— A porwie cię czort, jak ci dadzą kije, złodzieju! O święty Antoni!

Bali się jej żołnierze rosyjscy i choć tam który ukradł kurę lub gęś, kryć się z tem musiał, bo ciotka Albina zawsze umiała wskazać na prawdziwego sprawcę zniknięcia najładniejszej gęsi, czy kury.

Początkowo pozajmowali mieszkania służby, napastując dziewczęta, ale ciotka umiała sobie i z tem poradzić.

Na drugi dzień alarm we dworze — cholera wybuchła pomiędzy służbą. Kaśka, namówiona przez Albinę, jęczeć poczęła z boleści. Lekarza nie było. — Kapitan, bojąc się zarazy, kazał przeprowadzić się żołnierzom do odległych stodół, zostawiając we dworze tylko potrzebnych.

Przez całą zimę trwała ta walka z żołnierzami, ciotka wychudła, jak szkielet, jednakże z jeszcze większą energią przeszkadzała w zrujnowaniu dworu, krzycząc przy każdej sposobności.

— — — — — — — — — — — — —

— Kłaniam się pięknie, panu dziedzicowi — pozdrowił Walenty, stary sługa dworski — i zapytuję się, czy ta będziemy na ten rok siać?

— A czemużbyśmy mieli nie siać, kochany Walenty. Śniegi już popuściły, ładna wiosna, więc trzeba się zabrać do roboty.

— Wedle niby tego, pana dziedzica, pytam, bo chłopy się naradzają we wsi, czy mają siać, czy nie. Latoć ładny Pan Jezus dał, ale zbiorek wszyćtek zabrały wojska, kwity tylko jakiesik dali. A zresztą niema bydła, bo część zabrali, a reszta z podwodami pojechała! Tak się chłopy zebrali i uradzili...

— Cóż uradzili, aby nie siać?

— Ani tak, ani siak! Siać mówią — nima czem, ani ziarna, ani bydła! Zasieje się ostatek ziarna, toć jak dorośnie znów zabiorą, a Bóg wie, co to jeszcze będzie, czy też dożyjemy! Nie siać. źle, bo jakby człek dożył, to z głodu umrzeć musi! I tak źle i tak niedobrze! Tak też gromada prosi pana dziedzica, żeby był nie pomny tej szkody, co to z tego serwitutu wynikła i uczciwie nam poradził! Siać, czy nie siać?

Ciotka, która przed chwilą weszła do pokoju, bacznie poczęła słuchać rozmowy Walentego z Czabarskim.

Gdy Walenty skończył, podeszła do stołu, witając się z Czabarskim, i zwróciła się do Walentego pytając:

— O cóż to wam, mój Walenty, idzie.

— Kłaniam się, wielebnej pani, a to z przeproszeniem o gospodarstwie mowa.

— O co wam idzie?

Walenty spojrzał pytająco na dziedzica, jak gdyby chciał się zapytać, czy może przy kobiecie mówić o gospodarstwie. Dziedzic uśmiechnął się potakująco, wreszcie Walenty roztworzył usta i wykrztusił:

— Czy siać, czy nie siać!

— O święty Antoni! A mielibyście wy sumienie porzucać ziemię na pastwę chwastu i ostów? Przecież ziemia to matka nasza — a godzi się to rzucać matkę, gdy jest w nieszczęściu?

— Święta prawda, ziemia ci jak matka, bo jak nie urodzi, to przyjdzie z głodu umrzeć!

— Więc trzeba siać!

— A jak nam znowu zabiorą, albo spalą?

— Wola Boska! — przemówił dziedzic — Co będzie, bez woli Bożej nie będzie. A grzechem jest porzucać matkę ziemię!

— A dyć prawda! Ale...

— Cóż za ale?

— Bo to zboża się na tyle znajdzie, tylko koni niema!

— Obrobię ja grunta, bo konie mam, to i wam pożyczę. Jakoś w nieszczęściu będziemy się ratować!

— Bóg zapłać imieniem gromady! — pokłonił się Walenty — Więc państwoście uradzili, aby siać?

— Do roboty, a żwawo! Parę koni od jutra na stałe wam wypożyczę!

— Bóg zapłać! Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Amen! — odpowiedzieli.

— Ano będzie się siać — mruczał pod nosem Walenty, wychodząc z pokoju Czabarskiego...

— — — — — — — — — — — — —

W pokoju panieńskim przygotowała ciotka Albina skromną kolacyjkę. Pokój mieścił się na piętrze dworku, przez pięterko przechodził kurytarz, który prowadził do czterech pokoi, zamieszkiwanych dawniej przez Czabarskiego z synem, obecnie użyty na kwaterę dla oficerów rosyjskich.

Przy stole, rozmawiając przyciszonym głosem, siedziały obydwie córki Czabarskiego, ciotka zaś, chodząc nerwowo po pokoju, szeptała wieczorną modlitwę.

Przez okna dochodził zapach skoszonych łąk, mimo jednak późnego lipcowego wieczoru, duszno było w pokoju. Księżyc, ukryty za chmurami, zdawał się dumać nad losem polskiej ziemi.

Pannice, ubrane skromnie, ładne były i mimo niestosownego ubioru, twarzyczki ich jak oblicze Madonny wyglądały.

— Swięty Michale! A gdzie Zbigniew, gdzie Czabarski?

— Pójdę poszukać — odezwała się młodsza z nich, Olga, wstając z krzesła.

— O nie, dziecinko! Pójdę ja sama! Prędzej ja znajdę!

W tej chwili wszedł Zbigniew z ojcem i pozdrowiwszy ciotkę i panny, usiedli w milczeniu. Ciotka naparzoną herbatę w imbryku postawiła na kredensie, poczem usiadła obok siostrzenic w milczeniu zabierając się do spożycia herbaty.

Szybko znikały wędliny z półmisków, stuk noży i widelców o talerze przerywał jedynie przykrą chwilę głuchego milczenia.

— Gdzież to tak długo waćpanowie zabawili? Czekam i czekam. Już przecie po dziesiątej. Pewnie zboże doglądaliście?

— Tak, byliśmy w polu!

— Urodzaj nienajgorszy?

— A nienajgorszy, ciotuniu, tylko... — odpowiedział Zbigniew.

— He! Co mówisz?

— Pst... pst... — zwrócił się Czabarski do obecnych — zamkniemy okno, bo tam żołnierze po podwórzu chodzą i mogliby coś podsłyszeć.

Zamknął okno, podszedł ku drzwiom, rozglądając sie po kurytarzu, który był pusty.

— Tylko nikomu ani słowa — ostrzegł Czabarski — bo byłoby źle z nami.

— Cóż to, długie języki mamy, czy co? — obruszyła się Albina.

— Otóż — szeptem począł mówić Czabarski — Moskale mają niedługo opuścić ziemię lubelską!

— O Boże! — szeptały wzruszone córki wraz z ciotką, która na te słowa powstała.

— Bogu dzięki! — przemówiła Albina — wyzwolenie idzie ku nam!

— Jednakże mają Moskale palić cały dobytek i zbiory tegoroczne, tak samo i to, co w polu pozostanie, chaty i dwory puszczać z dymem, ludność zaś pędzić przed sobą... na Syberyę.

Przerażone kobiety umilkły, ciotka odetchnęła głęboko, wreszcie zadecydowała:

— Podpalą, będziemy gasić, wypędzą, wrócimy, zboże i dobytek się ukryje i choćby tam nie wiem co, nie damy się, a przyjdzie zginąć, to na własnych gruzach, Amen. Swięty Antoni i Ty, Michale, ratuj!

— Amen — powtórzyli obecni głęboko wzruszeni.

Przez całą noc trwały w panieńskim pokoju narady nad ratowaniem i ukryciem dobytku. Z brzaskiem dnia udano się dopiero na spoczynek.

— — — — — — — — — — — —

— Cioteczko! Co to za Legiony, o których mówią Moskale? — całując Albinę w głowę, Oldzia zapytała.

— Cóż by były za Legiony, jeśli nie polskie!

— Ale jak wyglądają? Jak ubrani?

— Skądże ja mogę wiedzieć, moje dziecko, o święty Michale!

— A może tatuś będzie wiedział, albo Zbigniew?

— Idźże sobie, idź, szukaj Zbigniewa lub ojca, a mnie daj spokój! O święty Antoni! Magda, bodajbyś nogi połamała, trzy talerze szelma rozbiła!

Przy obiedzie Olga zwróciła się do Zbigniewa:

— Zbisiu, ty wiesz coś o Legionach polskich, które walczą z Rosyą.

— Wiem, ale niedużo!

— Opowiedz mi, mój kochany!

— Najlepiej dowiesz się z tego — odrzekł Zbigniew, podając Oldze kilka numerów „Wiadomości Polskich".

— A skąd to masz?

— Ostrożnie czytaj, aby Moskale nie dostrzegli, bo gotowi z dymem dwór puścić, a w dodatku powiem ci nowinę!

— Jaką nowinę? — zapytały siostry, podchodząc do brata.

— Otóż lada chwila Moskale mogą się cofnąć, właściwie już się cofają, bo kazali w nocy chłopom opuszczać chaty, rzekomo, że wieś ma być bombardowaną. Chłopi jednak pozostali pomimo gęstej strzelaniny tej nocy. I kto wie, czy do nas niedługo nie zawitają, jak wynika z opowiadania oficera stojącego u nas na kwaterze, gdyż Legioniści walczą z nimi na tym froncie.

— O Boże! Chciałabym widzieć wojsko polskie! — szepnęła wzruszona Jadwiga.

— A jak ja bym chciała! Oby to już dziś było! — mówiła Olga, całując brata w policzki.

Od samego rana tegoż dnia jakieś zamieszanie zaczęło panować w wojsku rosyjskiem. Strzelanina trwała bezustannie, przerażeni mieszkańcy wioski i dworu poukrywali się po piwnicach, oczekując z trwogą dalszych wypadków. Przez wieś przeciągać poczęły treny rosyjskie, zapowiadał się odwrót armii.

Pod wieczór, dudniąc po drodze, aż szyby brzęczały w oknach, przeciągała artylerya, potem batalion piechoty wkroczył do wioski.

Żołnierze rozbiegli się po wsi, odszukując ludność poukrywaną, rozkazali sprzęty domowe z chat wynosić, pakować na wozy, zapowiadając, że wieś cała będzie spalona.

Płacz i krzyki ludności mieszały się z przekleństwami sołdatów — zdawało się, że koniec świata się zbliża.

— Biorą nam sprzęty, niech się udławią, ale ziemi nie porzucimy — mówili chłopi pomiędzy sobą.

Taki sam los miał spotkać i dwór, jednakże oficerowie, zaproszeni przez ciotkę Albinę i poczęstowani dobrem winem i soczystem mięsem, kazali wstrzymać chwilowo ładowanie sprzętów dworskich, póki nie spożyją kolacyi.

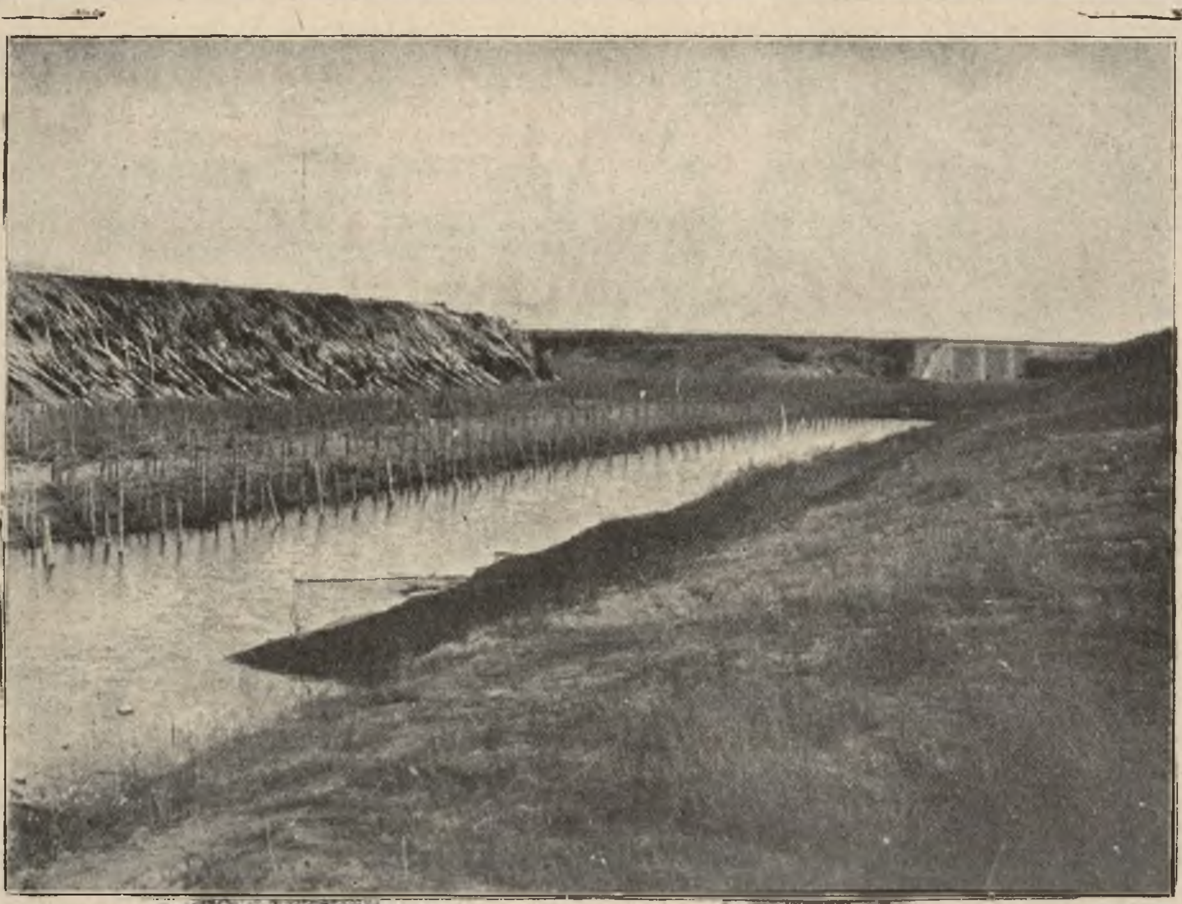
W trakcie ugaszczania przed dworem rozległy się strzały karabinowe, oficerowie zerwali się przestraszeni, pytając o przyczynę.

Armia sprzymierzona ścigała pobite wojska rosyjskie.

Skorzystali z tego chłopi, naładowane furmanki zaciągli do lasu, a przez ten czas przestraszeni strzałami Moskale wynieśli się piorunem ze wsi, gdyż artylerya zaczęła bić granatami we wieś.

Podpalili na pożegnanie z czterech stron wieś, skoczyli jednak chłopi i pożar natychmiast ugasili.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Na zgliszczach Brześcia Litewskiego: Sztuczne przejścia i zasieki przed fortem Nr. 9. (Fot Szalay.)

Na zgliszczach Brześcia Litewskiego.

(Korespondencya „Nowości Illustrowanych").

Dnia 29. sierpnia wypadł nam nocleg o milę tylko od Brześcia, przy jednym z fortów nowozbudowanych wioski Koroszczyn. W kilku uzyskaliśmy pozwolenie udania się do samej fortecy, gdzie, jak głuche wieści niosły, pono znajdować się miały zapasy słoniny i owsa, chętnie przez zarząd niemiecki udzielane „potrzebującym".

Wyjechaliśmy o świcie. Droga prowadziła wśród głębokich przekopów Koroszczyńskiego fortu. Zwiedziliśmy szczegółowo ten fort. noszący nazwę Nr. 9. Wszystko, co pomysłowość ludzka mogła wynaleźć dla obrony współczesnej fortecy, tu znalazło zastosowanie: cementowe kazamaty, głęboko w ziemię wkopane, obszerne korytarze o murach grubości średniowiecznych klasztorów, cały system kopułek opancerzonych, zbrojnych w działa, zaledwie widoczne z pod darni, całe labirynty okopów strzeleckich, ginących w dali i niemożliwie poplątanych, strzelnice karabinów maszynowych w takich miejscach, gdzie zdawało się nawet mysz się nie wśliźnie, okrutne, potwornie żelaznymi ostrymi zębami sterczące brony, łańcuchami spięte nad dołami wilczymi, ukryte zbiorniki wody, podcięte drzewa i zwisające zaspy ziemi.

A jednak i ta twierdza, tak zbudowana, iż zdawało się, że żadna siła nie potrafi jej zdobyć, nie mogła oprzeć się wobec świetnego planu wojsk nacierających. Armia niemiecka zaszła tak obrońców, że pociski artyleryjskie poczęły uderzać prosto w środek fortu, a nawet kule karabinowe zabijały Rosyan z tyłu. Fort niezdobyty poddał się, bo poddać się musiał, inaczej wszyscy jego obrońcy byliby wyginęli.

Widziałem w głębokich wałach fortecznych, zamaskowanych darniną, straszliwą kośbę śmierci. — Już drugi tydzień mijał, a niepogrzebane zwłoki żołnierzy rosyjskich, poszarpane granatami, walały się w niedostępnych pozycyach. Granaty przebijały



Zgon artysty: S. p. Władysław Wojdałowicz, artysta teatrów warszawskich.



Na zgliszczach Brześcia Litewskiego: Jeden z fortów po zdobyciu. (Fot. Szalay.)

z łatwością górne przykrycie, wpadały wewnątrz okopów, siejąc śmierć wszędzie.

Gdzieniegdzie jeszcze widać niepogrzebane szczątki ciał ludzkich. Tu oderwana głowa szczerzy swe zęby, tam znowu gnijący tułów zatruwa powietrze. Dokoła trupi zaduch — gniją ludzkie i końskie ciała.

Straszny, okropny widok, jakiego się nie zapomni do śmierci...

Ruszyliśmy z fortu nieszczęsnego ku Terespolowi. Podróż rozwiała obrazy niedawno widziane. Szosa i kolejki forteczne zniszczone zmuszały do uwagi. Koń snadnie nogi połamać może na tych „wojennych“ drogach.

Nad ruinami Terespola wznosi się jedynie pomnik Aleksandra I. na trakcie warszawskim. Spalenizna zalatuje od kwitnącego niedawno miasteczka.

Po kilku minutach wjeżdżamy już do fortecy. Lat sto minęło, jak kongres wiedeński wyznaczył Brześć Litewski na graniczne miasteczko pomiędzy Rosyą (?) i Królestwem Polskiem. W miejscu, gdzie dwie rzeki: Bug i Muchawiec łączą swe wody, po powstaniu 1830—31 roku car Mikołaj I. rozkazał zbudować warowną fortecę, osobiście zwiedził roboty w roku 1834, oddając główne kierownictwo nad niemi Paszkiewiczowi, twórcy warszawskiej cytadeli.

Twierdza brzeska, budowana w ciągu 20 lat, a w ostatnich czasach gruntownie zrekonstruowana, była dumą Rosyan, którzy uważali ją za najpotężniejszą w Europie... A dziś?... Przed garstką Legionistów polskich stoją otworem jej podwoje.

Mosty pozrywane, popalone. Składy amunicyjne zniszczone, w pośpiechu tysiące ciężkich pocisków zostawiono, setki armat zaledwie nadpsutych. — Wszystkie wewnętrzne urządzenia fortecy nietknięte.



Z wojennego szpitalnictwa: Msza św. w jednym z krakowskich szpitali fortecznych.



Obrazki wojenne: Odpoczynek oficerów austryackich w czasie przerwy w strzelaniu na pozycyi artyleryi.



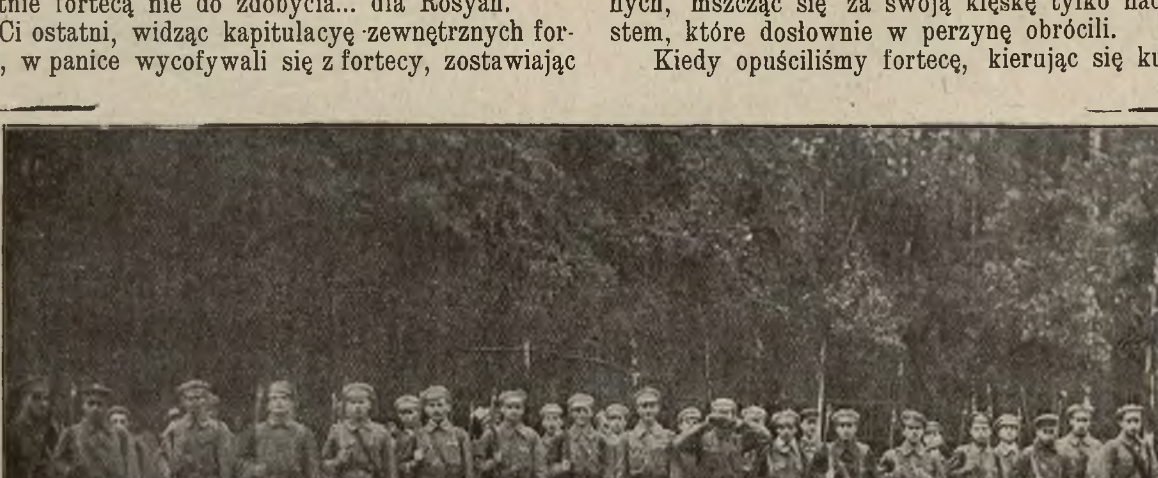
Z walk w Polsce: Patrol 4. pułku 10. kompanii saperów, która pierwsza wdarła się do jednego z zachodnich fortów Przemyśla.

Kilka tygodni intenzywnej pracy i Brześć stanie się istotnie fortecą nie do zdobycia... dla Rosyan.

Ci ostatni, widząc kapitulacyę zewnętrznych fortów, w panice wycofywali się z fortecy, zostawiając pełne magazyny. Nawet wielkie magazyny siana ocalały.

Wszystkie moje przewidywania co do spustoszeń i krwawych obrazów w fortecy nie sprawdziły się. Brześć Rosyanie opuścili po upadku fortów zewnętrznych, mszcząc się za swoją klęskę tylko nad miastem, które dosłownie w perzynę obrócili.

Kiedy opuściliśmy fortecę, kierując się ku miastu, począł padać drobny deszcz. Wjeżdżamy w ulice spalonego miasta samotni. Z czarnej masy okopconych, walących się i zwalonych domów szczerzy ku nam zęby ohydna pustka, bezład, bezruch. — Uczucia, jakiego doznaliśmy, żadne pióro opisać nie jest zdolne.



Radom Legionom: Trzeci oddział Legionistów, sformowany w Radomiu.

Tylko cerkiew i kościół ocalały. Zresztą nie zauważyłem ani jednego zamieszkałego domu w mieście, które ma 36 ulic, na przestrzeni 28 wiorst zabudowanych. Domów murowonych było w tem mieście 1008 (wszystkie spalone), drewnianych obszernych domów na przedmieściach 1285 (śladów nawet z nich nie zostało). Mieszkańców liczył Brześć (bez garnizonu fortecznego) 57.606, w tej liczbie Polaków 7.682, żydów 39.479, Rosyan 10.102.

Wyobrazić sobie łatwo, co za używanie miały hordy moskiewskie, kiedy im pozwolono pohulać w ewakuowanem mieście, którego obroty handlowe sięgały 10.500.000 rubli rocznie.

Przed podpaleniem miasta splądrowano wszystkie sklepy. Na ulicach nie widać nikogo. Spalone, umarłe miasto. Ciszę przerywa jedynie od czasu do czasu łoskot walącej się ściany.

Dworzec kolejowy, gmachy publiczne, koszary również spalone. Mosty kolejowe sterczą ze swemi pogruchotanemi żebrami ponad poziom linii kolejowych. Istne cmentarzysko...

Udajmy się na cmentarz. Tam w pewnym „kwartale“ mnóstwo grobów-mogiłek żołnierskich. Wzgórki nie bardzo świeżej ziemi.

Znalazłem wreszcie żywą istotę, jakąś staruszkę, która opowiada, że to groby żołnierzy, poległych przy wybuchu w fortecy w zeszłym roku.

— O, panie, teraz oni wysadzali w powietrze różne mosty i magazyny, ale takiego huku, jak rok temu, nie było. Przeszło tysiąc ludzi leży tu zabitych.

Straszne są prawa wojny. Lecz straszniejsze jeszcze czyny ludzkie z tych praw wynikające. Cóż



Z walk w Polsce: Tren Legionów polskich w Lubelskiem.

tym ciosem ojca podpułkownik Götz, podnosząc w liście męstwo poległego oficera, którego korpus oficerski z szczerym opłakuje żalem.

S. p. Filip Axentowicz był słuchaczem prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim, liczył lat 22. Pogrzeb wojskowy odbył się w Silnie. Skromny krzyż drewniany, ręką żołnierzy ciosany, stanął na grobie przedwcześnie zmarłego młodzieńca, którego śmierć wywołała szczery żal w szerokich kołach Krakowa.

Cześć jego pamięci!



Smierć na polu chwały: S. p Filip Axentowicz.

powiedzieć o bezprawiu wojny, którego na każdym kroku dopuszczają się uciekający Rosyanie?!

W powrotnej drodze spotkaliśmy kilkadziesiąt wozów chłopskich. Zapchane rodzinami i betami dążyły wozy te z pod Kobrynia do Starachowic, Iłży w Radomskiem. Uciekinierzy opowiadali, że podczas bitwy na szosie kobryńskiej zginęło ich kilkuset. Oni cudem ocaleli i oto za cenę życia tamtych udało się im wyrwać ze szponów moskiewskich... Teraz wracają do swych zniszczonych sadyb...

Noc zapadała szybko. Oddziałek nasz mknął już z powrotem z Brześcia, kiedy natknęliśmy się na rodzinę chłopską z Krasnostawu. Chłop kulawy dźwigał ogromny tobół na plecach. Baba niosła dwuletnie dziecko na barana, a drugie ssało jej chudą pierś, trzeci dzieciak dreptał przodem. Stracili wóz, konie — wszystko.

Mały chłopczyk wiejski z włosami jak len przerwał nasze „wywiady".

— Szpieszta tato do domu.

Nie trzeba tworzyć symbolów na tej biednej, polskiej drodze życia. Oby ta, po której wracają chłopskie dzieci nasze, wiodła ku odrodzeniu Polski...

Miejsce postoju I. brygady Leg. P. 8. września 1915 roku. *M. Dąbrowski.*

Smierć na polu chwały.

Wśród ofiar wojny padło znowu młode obiecujące życie, okrywając żałobą rodzinę rektora krakowskiej Akademii sztuk pięknych, T. Axentowicza. W ostatnich dniach padł mianowicie syn cenionego artysty, ś. p. Filip Axentowicz, chorąży ułanów. Zginął od kuli nieprzyjacielskiej w dniu 2. września podczas utarczki patroli kawaleryjskich pod Łuckiem. O bohaterskiej śmierci młodzieńca, który przed pół rokiem zaledwie rozpoczął służbę frontową i jako jednoroczny ochotnik uzyskał rangę chorążego oraz srebrny medal waleczności, zawiadomił dotkniętego

Radom Legionom.

W szeregu miast Królestwa Polskiego, które zasilają Legiony, zajmuje poczestne miejsce Radom. Oddział Legionistów, którego fotografię zamieszczamy



Z walk w Polsce: Szańce rosyjskie, zburzone jednym pociskiem moździerza austryackiego.

w niniejszym numerze, jest trzecim już oddziałem, sformowanym z ochotników z Radomia, staraniem i kosztem tamtejszej Ligi kobiet. Oddział ten wymaszerował w pole 10. września bieżącego roku.

Liga kobiet w Radomiu, dawniej „Stowarzyszenie kształcących się kobiet", krząta się dzielnie nad rozwojem życia społecznego w Radomiu, a w programie tym na pierwszem miejscu kładzie oświatę i Legiony.

Liga urzęduje we własnym lokalu. Drogą ofiarności publicznej, która w Radomiu na cele narodowe płynie obficie, drogą odczytów, wieczorków, sprzedażą wydawnictw N. K. N., urządzaniem dni kwiatów, gromadzi znaczne fundusze, z których utrzymuje schronisko dla Legionistów, zaopatruje ich w bieliznę, ubranie, buty, tytoń, nawet w przybory toaletowe. Wydajność usiłowań Ligi znaczy się coraz to większymi walorami. Trzy oddziały piesze już wyruszyły, dalsze w przygotowaniu, a za parę dni wyrusza w pole oddział ułanów polskich, wyekwipowanych przez Ligę kobiet w Radomiu własnym kosztem kompletnie, a więc konie, mundury, rynsztunek, a nawet prowiant na drogę, to dzieło ruchliwych Radomianek! *A. L.*

Z wojennego szpitalnictwa.

W miarę, jak wojna się przeciąga, powstają też coraz to liczniejsze szpitale i zakłady, przeznaczone do niesienia pomocy rannym i cierpiącym.

Do nich zaliczyć należy w pierwszym rzędzie wielki szpital barakowy, założony przez krakowską komendę wojskową w Frankstadt na Morawach. Zakład, położony w górskiej okolicy, u stóp Radhorstu, ochroniony od wiatrów, zdala od wielkomiejskiego zgiełku i gwaru, składa się z dwudziestu czterech objektów, z których połowa przeznaczoną jest dla chorych.

Poszczególne pawilony, wyposażone we wszystko to, czego nowoczesna medycyna wymaga, wybudowano wśród ogrodów; każdy barak posiada własną łazienkę, zaopatrywaną we wodę ze specyalnego wodociągu. Postępowo urządzona pralnia, werandy dla chorych, dwie sale operacyjne, apteka, kaplica i laboratoryum bakteryologiczne dopełniają całości.

Komendantem szpitala w Frankstadzie jest znany i w Krakowie lekarz tarnowski, dr. Alojzy Szatkowski, bakteryologicznem laboratoryum kieruje Krakowianin, dr. Eisenberg, funkcye oficera zajmującego się ekonomią pełni sędzia ze Zywca, porucznik M. Widlarz.

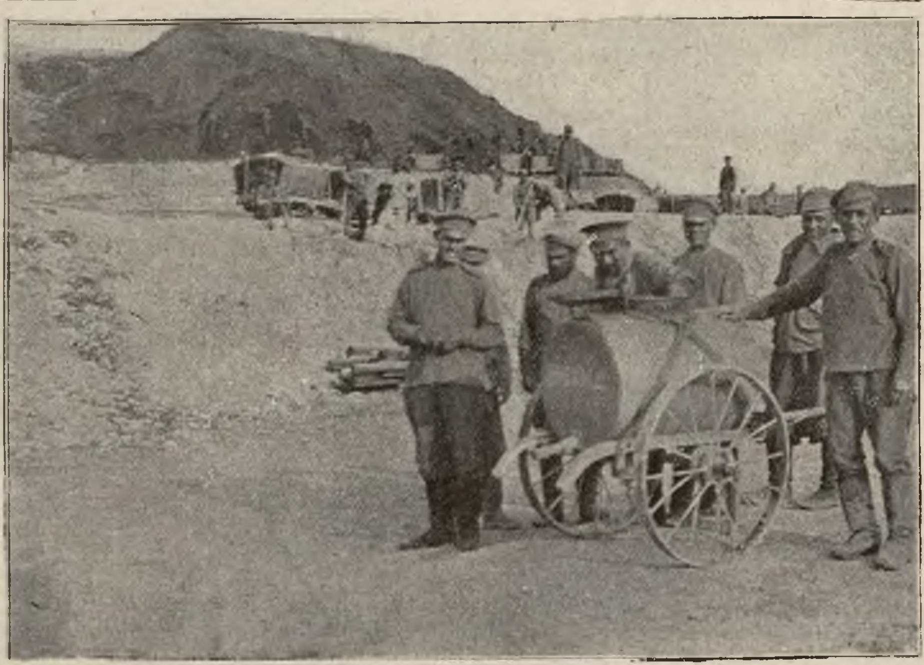
Kilka illustracyi, przedstawiających urządzenie tamtejrzego szpitala, zamieszczamy w niniejszym numerze.

Pozatem znajdą Czytelnicy grupę lekarzy krakowskiego szpitala garnizonowego z arcyksięciem Karolem Stefanem ze Zywca w pośrodku. Jako protektor opieki nad inwalidami, przeprowadził arcyksiążę w Krakowie szczegółowe badania, na podstawie których komenda twierdzy wydaje zarządzenia, dotyczące żołnierzy okaleczałych na wojnie.

W pierwszym rzędzie utworzono więc szpital, połączony z instytutem lekarsko-mechanicznym, szkołę przemysłową dla robót ręcznych i maszynowych, szkołę rolniczą wraz ze szkołą dozorców leśnych, pracownię dla wyrobu protez. Postarano się także o zbieranie funduszów celem wyrobu protez i zakupna narzędzi i małych maszyn dla galicyjskich inwalidów. Protektorat nad tem objęła żona komendanta twierdzy, p. Amalia Kukowa.

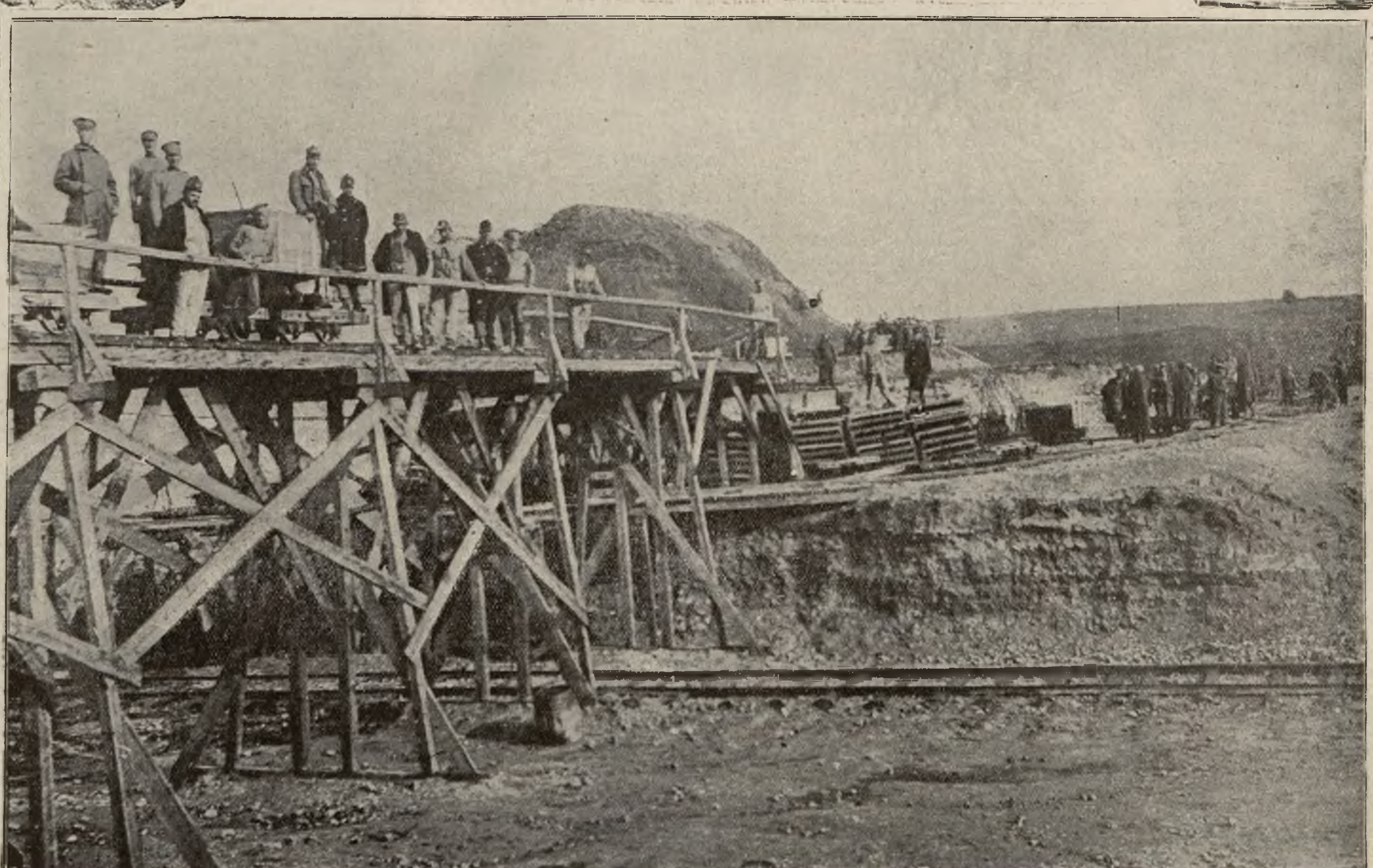
Arcyksiążę Karol Stefan i jego małżonka, arcyksiężna Marya Teresa, rozwinęli bardzo gorliwą czynność, mającą na celu opiekę nad inwalidami wojskowymi i niesienie im pomocy.

Uzupełnienie stanowi rycina, przedstawiająca mszę św. w jednym z krakowskich szpitali fortecznych, oraz grupę Legionistów i żołnierzy Polaków,

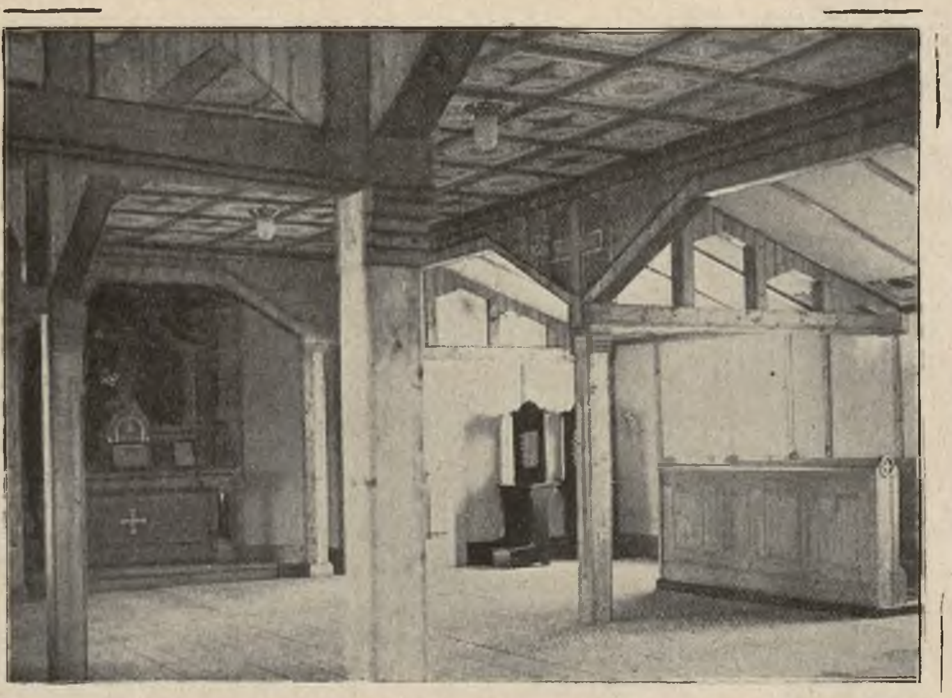
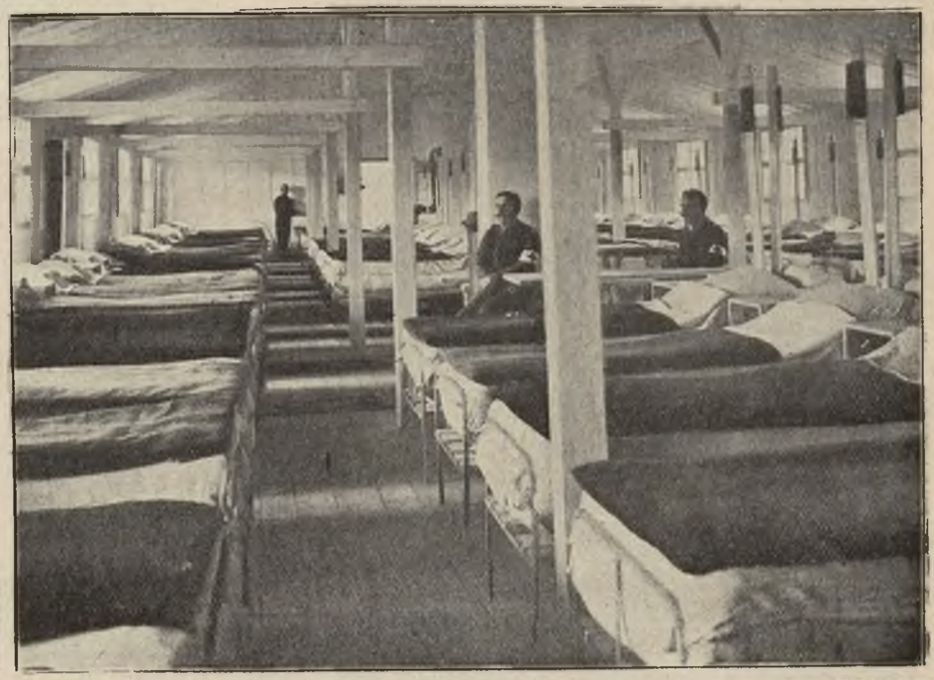




Wojenni robotnicy: Jeńcy rosyjscy przy robotach w wapiennikach krakowskich.



Wojenni robotnicy: Jeńcy rosyjscy przy robotach w wapiennikach krakowskich.

Z wojennego szpitalnictwa:

Kaplica w szpitalu barakowym w Frankstadzie (na Morawach). Sala chorych w szpitalu barakowym w Frankstadzie (na Morawach).

leczonych w „Kaiser Jubiläumspital" we Wiedniu, z delegatką Wiedeńskiego Samarytanina, p. Pudłowską.

Wojenni robotnicy.

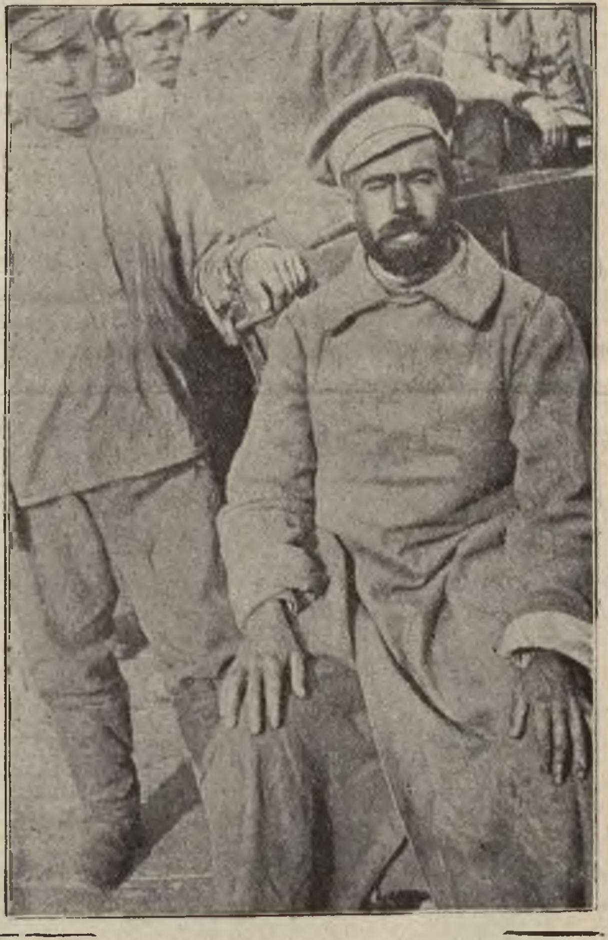
Wobec wojny i powołania ogromnej liczby mężczyzn pod broń, daje się odczuwać wszędzie brak rąk roboczych. Ten skutek wojny, przygniatający ciężkim brzemieniem życie gospodarcze państw, poczęści wyrównuje również wojna, dostarczając robotników z pośród wziętych do niewoli jeńców.

Tę wojenną siłę roboczą posiada zwłaszcza Austrya i Niemcy, gdzie znajduje się około dwu milionów jeńców rosyjskich. Pracują oni przy naprawie dróg, na roli i po szpitalach, a także i w fabrykach.

Nie brak tych wojennych robotników i w Krakowie. Stanowią oni obsługę przy niektórych szpitalach i są zatrudnieni również i przy innych robotach, a między innemi w krakowskich wapiennikach.



Z wojennego szpitalnictwa: Grupa Legionistów i żołnierzy Polaków, leczonych w wiedeńskim szpitalu jubileuszowym, z delegatką „Samarytanina", panią Pudłowską w pośrodku.



Wojenni robotnicy: Charakterystyczne typy jeńców rosyjskich, zatrudnionych w wapiennikach krakowskich.




Z wojennego szpitalnictwa:

Łaźnia w szpitalu barakowym w Frankstadzie. Laboratoryum bakteryologiczne w szpitalu barakowym w Frankstadzie.

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego **MARYA SEGENY.**

12

Pani de Kermor zachowała się wobec niej grzecznie, lecz chłodno, co doprowadziło bankierównę do przekonania, że łatwiej się dostać do wnętrza kas ogniotrwałych, niż do serca opancerzonego niechęcią. Uczuła, że o ile sprawa jej poprawiła się wobec młodego hrabiego, o tyle straciła na terenie przy markizie. Ta ostatnia zapytała ją uprzejmie o stan jej zdrowia, wspominając, że zapewne Henryk, dowiedziawszy się o jej wizycie, przybędzie się z nią przywitać. Markiz zaś, zawsze nadskakujący i dowcipny, okazał się wstrzemięźliwszym w rozmowie, napomknął o przymusowym wyjeździe syna do Biarritz i pożegnał się prędko, tłumacząc się jakimś nagłym interesem do załatwienia.

Gdy Henryk po chwili wszedł do buduaru, Sydonia wzruszona i pomieszana powstała, chcąc biedz ku niemu, lecz powstrzymał ją surowy i poważny wyraz jego twarzy. Wydał się jej piękniejszym i jeszcze bardziej dalekim, niż przedtem.

Gdy poczuła na swej ręce zimne muśnięcie warg narzeczonego, wstrząsnęła się i zrozumiała, że wobec tego skrytego i surowego człowieka będzie zawsze i tylko jedynie rozkochaną i pokorną istotą, żebrzącą jego łaski.

— Gdyby pan wiedział, jak okropnego lęku nabawiłeś mnie swoją chorobą — szepnęła drżącym głosem — Zdaje mi się, że w tej chwili dopiero żyć i oddychać na nowo zaczynam.

W okrzyku tym brzmiała prawdziwa szczerość i uczucie. Sydonia nie poznała samej siebie. Ona, dla której zwycięstwa wobec pokornych i uległych wielbicieli były podnietą popychającą do dalszych eksperymentów i ciągłego podkreślania swojej władzy, dziś czuła się zdolną dla tego człowieka do najwyższych ofiar i zapomnienia o sobie. Henryk de Kermer w kilku grzecznych słowach odwdzięczył się jej za ten objaw sympatyi i zainteresowania, a Sydonia, mieniąc się na twarzy i patrząc mu w oczy, pochłaniała wprost te słowa z nieopisanym wyrazem uwielbienia i radości. Markiza po chwili powstała i, siląc się na uśmiech, rzekła do Sydonii, stojąc na progu buduaru.

— Zziębłam trochę i idę się rozgrzać do zimowego ogrodu, gdzie was oczekiwać będę. Sądzę, że potraficie się tu obejść bezemnie.

Po jej wyjściu zapanowało w buduarze milczenie. Sydonię objęło nagle silne zmieszanie, z którego sobie nawet sprawy zdać nie mogła, a Henryk umilkł, jakgdyby to, co mówił dotąd, było intencyjnie skierowane do matki, aby uspokoić jej niepokój, dać jej illuzyę, że naprawdę szczęśliwym się czuje.

— Panno Sydonio — wyrzekł wkońcu Henryk, przerywając ciążące milczenie — jesteśmy w przededniu połączenia losów naszych na życie całe. Jest to tak dla pani, jak i dla mnie godzina poważna. Chciałem więc z panią pomówić.

— Czy powie mi pan coś strasznego? — zapytała bankierówna z zalotnym uśmiechem.

— Nie, pani, tylko poważnego.

— A więc słuchać będę z całą powagą.

Sydonia wciąż jeszcze pokrywała zmieszanie sztucznym uśmiechem, przeczuwając, że to, co usłyszy, stanowić będzie nieodwołalnie o całem jej szczęściu. Nie mogła się oprzeć nieprzyjemnemu uczuciu, że Henryk wystąpi wobec niej w roli nieprzebłaganego sędziego.

— Dotknę zapewne panią — podjął Henryk powoli, szukając naprożno łagodzących określeń — ale sytuacya nasza obecna tego wymaga. Muszę tak uczynić, nie chcąc postąpić wbrew swoim przekonaniom. Pani zaś zechce mnie wytłumaczyć, jeśli to będzie możebne.

— To już jest zrobione. Proszę mówić, jestem przygotowana na wszystko — szepnęła bankierówna drżącym głosem.

— To bardzo dobrze. Idę prosto do celu.

— Do jakiego?

— Przeciw nieprzyjacielowi.

— Któż nim jest?

— Kłamstwo!

— Domyślałam się tego. Proszę mówić.

Henryk zawahał się na chwilę wobec tej kobiety, która pomimo wszystko wzbudzała w nim litość, a patrzała teraz na niego oczami pełnemi przerażenia i miłości.

— Nie — szepnął — to niemożliwe! Bezwzględność moja graniczy z dzikiem okrucieństwem.

Podszedł do niej i ujął jej białe, wypieszczone dłonie.

— Sydonio — rzekł cicho, topiąc spojrzenie w jej zemglonych, szeroko rozwartych źrenicach. Nie chcę, byś się poświęcała dla mnie. Godna jesteś innego losu. Nie chcę, byś została oszukaną przezemnie. Bo wierz mi, to byłaby zbrodnia i niecne oszustwo!

— Ale dlaczego, mój Boże! — zawołała ze szczerą rozpaczą. — Mówi mi pan o oszustwie! W czemże więc oszukać byś mnie mógł? Czyż nie nie należę cała do ciebie?

— Nie chcę kraść twojej młodości, urody i pieniędzy, rozumiesz mnie, Sydonio? Niszczyć miłości twojej i zgotować ci nieszczęśliwą przyszłość!

— Henryku! Nie mów tak? Gdybyś mógł przejrzeć myśli moje!

— Nie chcę ci sprawić bólu, Sydonio!

— Ależ już czynisz tak, mówiąc do mnie w ten sposób! Proszę cię, skończmy tę rozmowę. Powiedz prosto i odważnie, co myślisz. Powtarzam, jestem przygotowana na wszystko!

— Więc chcesz tego? Posłuchaj mnie. Lękam się, czy kiedykolwiek będę ci mógł się odwzajemnić miłością równą twojej. Oto wszystko. Widzisz, że postępuję bezwzględnie; nazwij to, jak chcesz, ale sumienie moje nie pozwala ukryć tego przed tobą!

Lekki okrzyk cierpienia wyrwał się z piersi młodej kobiety, a w oczach jej zawsze dumnych i zwycięskich, zatlysły dwie duże łzy i spłynęły wolno po policzkach.

— Nie powiedziałeś mi nic nowego, mój przyjacielu — odezwała się łagodnie. — Wiedziałam niestety o tem. Jesteś uczciwym człowiekiem i nie możesz mnie łudzić. Zrozumiałam to.

Litość Henryka zmieniła się w szczere współczucie. Umiał ocenić tę boleść cichą, wypływającą z przywiązania bezinteresownego, nie wymagającego wzajemności.

— I nie powiedziałaś mi nic o tem, Sydonio! — rzekł z wymówką. — Nie zdradziłaś się ani słowem jednem. Powinnaś była odpędzić mnie od siebie, uczuć do mnie żal i pogardę!

— Czy mogłam tak uczynić, Henryku — zapytała smutnie, uwalniając ręce z jego uścisku. — Powiedz, czy mogłam! Przecież to groziło zupełną stratą ciebie! Kocham cię — dodała z mocą i zdałą jakąś energią, przed którą zadrżał młody człowiek. — Powinieneś to zrozumieć!

— Rozumiem... aż nadto dobrze. Widzę teraz jedno, że w każdy sposób stanę się nieszczęściem twojem!

— O nie! Gdybyś tylko chciał, Henryku! Gdybyś tylko pozwolił, potrafię cię kochać za nas oboje.

— Sydonio! Upokarzasz mnie swoją dobrocią i wyrozumiałością, ale zastanów się, postaraj się zapomnieć! Błagam cię! Jeszcze nie jest zapóźno! Tu chodzi o rzecz za wielkiej wagi, bo o życie twoje.

— Masz słuszność! Miłość ta zabije mnie. Na samą myśl, że cię utracić mogę, że możesz mnie odpędzić od siebie, czuję, że zmysły tracę!

— Sydonio! uspokój się!

— Oh! Dziękuję ci za twoje współczucie. Słuchaj, Henryku! Chciałam ci coś powiedzieć! Nie, nie! Już nie wiem doprawdy! Tracę przytomność umysłu. Chcesz, bym zapomniała o tobie! Ależ Henryku mój, zrozum, że ja nie chcę tego, nie chcę. Życie moje, uroda, majątek, to wszystko ty! ty jeden, jedyny! To wszystko należy do ciebie! A może — dodała, błagalnie patrząc mu w oczy — może doczekam się przecież, że kiedyś pokochasz mnie także, choć trochę, Henryku! Nie odmawiaj mi tej nadziei!

Młody człowiek wstrząsnął się nagle i ręką przesunął po czole.

— Chyba, że kochasz jaką inną kobietę? — pytała gorączkowo Sydonia. — Proszę cię, odpowiedz mi.

— Nie, nie — zaprzeczył słabo — tylko...

— Więc nie kochasz nikogo? — nalegała jeszcze bankierówna.

— Nie, wybacz mi, Sydonio, proszę cię. Postaram się pokochać ciebie, o ile chcesz jeszcze do mnie należeć po tem, co ci powiedziałem.

— Dziękuję ci, mój przyjacielu. Uczyniłeś mnie szczęśliwą. Jednej rzeczy obawiałam się tylko! — rywalki! A teraz zdjąłeś mi ciężar z serca. Pozostaje mi tylko wysiłek zmuszenia cię do pokochania mnie. Nie twoja to wina, jeżeli dotąd nie umiałam się o to postarać, nieprawdaż?

— Powtarzam ci, Sydonio, że postąpiłem nieuczciwie, prosząc cię o rękę, nie będąc pewnym uczuć swoich.

— Nie obczerniaj się, Henryku.

— Chcesz zmniejszyć winę moją wyrozumiałością swoją!

— Nie! Takie rzeczy zdarzają się codziennie. Pamiętaj, że w każdej miłości jest zawsze jeden pokrzywdzony bez winy drugiego, to jest ten, który kocha więcej.

— Ależ ty dajesz wszystko — oburzył się Henryk. — A ja lub ci, którzy czynią tak, jak ja, jakież wytłomaczenie znaleść mogą dla swojego postępowania? Wyrachowanie! Nędzne, podstępne wyrachowanie! Nie dają nic, nie posiadają nic, a biorą wszystko! A w szczególności posag!

— Wiem to, wiem to, ale oszczędź mnie, mój drogi. Pozwól mi zachować iluzyę, pozwól mi wierzyć, że powiedziałeś sobie: nie kocham jej, ale wstrętu do niej nie czuję. Zostanie moją żoną, a potem może przyjdzie przywiązanie, którem odwdzięczę się za jej miłość!

— Nie mów w ten sposób, Sydonio, ty nie potrzebujesz niczyjej łaski!

— Tak! Prawda! Jestem przecież milionową panną! Ale gdybyś ty wiedział, wiele we mnie nędzy i smutku, pustki pod tym blichtrem złotym, którym naznaczono mnie, jak hańbiącem piętnem! A zazdrość i niechęć ludzi! Majątek mój! Ależ wstręt i odrazę budzi on we mnie! Rzuciłabym go na ulicę pierwszemu lepszemu przechodniowi. Nienawidzę z duszy całych tych milionów moich, które oddalają mnie od ciebie, a ciebie odemnie! Chciałabym być najnędzniejszą z kobiet i posiadać jedeno: piękność moją i twoją miłość. Przyszłabym wówczas do ciebie i powiedziała szczerze: „Henryku, należę do ciebie, uczyń ze mną, co ci się podoba, będę żoną twoją, niewolnicą, czem chcesz". Ale niestety, jestem bogatą, bogatą w to wszystko, czego mieć nie pragnę! To przecież okropne! Henryku, mój drogi przyjacielu, czy mógłbyś choć na chwilę zapomnieć o moim majątku i uważać mnie za nieszczęśliwą tylko dziewczynę, która pragnie należeć do ciebie!

Mówiąc to bankierówna, wstrząsana spazmatycznym płaczem, oparła głowę na piersi Henryka, niezdolna już dłużej panować nad sobą.

— — — — — — — — — — —

Przez ten czas markiza niecierpliwym krokiem chodziła po oranżeryi, zatrzymując się niekiedy przy klombach różnokolorowych chryzantem, które były jej ulubionymi kwiatami, lecz myśl jej błądziła gdzieindziej.

Szmer kroków i cichy szelest jedwabiu zwrócił jej uwagę. Do oranżeryi wchodziła Sydonia z rozpromienioną twarzą, prowadząc za rękę Henryka. Markiza de Kermor bacznem okiem objęła ich oboje i spostrzegła natychmiast, że oczy bankierówny były jeszcze od łez wilgotne. Na twarzy zaś Henryka jaśniał łagodny uśmiech.

— Mamo — rzekł Henryk podchodząc — niosę ci dobrą wiadomość. Nie pojadę już do Biarritz. Jestto zupełnie niepotrzebne, gdyż czuję się już uzdrowionym i to z łaski tego oto lekarza. Proszę cię, mamo, ucałuj go za to serdecznie — dodał, popychając lekko Sydonię w ramiona matki.

Wielki dzień.

Baron de Bressien znajdował się w swojem biurze zajęty sprawdzaniem wielkich ksiąg rachunkowych i tak był pogrążony w tej wydatnej dla siebie pracy, że nie słyszał, jak drzwi skrzypnęły lekko i do gabinetu wsunęła się bankierówna w lekkim i powiewnym stroju domowym.

Podeszła ostrożnie i nagle objęła jego szyję ramionami, przytulając się do niego pieszczotliwym ruchem.

— Gdybyś ty wiedział, ojcze, jak ja czuję się szczęśliwą — szepnęła mu do ucha.

— Ja również, moje dziecko — odparł bankier, uwalniając się z jej objęć — ale niepotrzebnie objawiasz swą radość w ten sposób i w uściskach mnie dusisz.

— Wszystko już zrobione! Delrue jest nam niepotrzebny! Czy ty to rozumiesz, ojcze! — zawołała Sydonia, rzucając się na fotel.

— Ah! To doskonale!

— Tak! Tak! — mówiła dalej bankierówna z gorączkowem ożywieniem — Henryk w najbliższych dniach będzie u nas. Jestem teraz tak spokojna, tak pewna Henryka, że mnie ta Janina le Brenn przestaje już interesować.

— Zalecam ci jednak ostrożność, moje dziecko, nie należy być nigdy pewnym przed czasem.

— Ależ, ojcze!

— Niech Delrue działa dalej aż do końca, bo wiedz, że ja od niego tego żądać będę i tylko pod tym warunkiem wypłacę mu umówioną sumę.

— Oh, bądź pewny, ojcze, że ja ci w tem przeszkadzać nie będę.

— To bardzo dobrze. Pozostaw to jeszcze biegowi rzeczy. Jeżeli to nie pomoże, to i również nie zaszkodzi. A przyznam ci się, że wolałbym o tem wszystkiem już nie słyszeć i módz spać spokojnie.

— Biedny ojczulku! Masz wiele nieprzyjemności z mojego powodu.

— Nie z twojego, dziecko! Nie wiesz, co mówisz. Nie ty przyczyniasz mi kłopotów, ale moje całe otoczenie. No, opowiedz mi, jakim sposobem doszłaś do tej pewności, do ujarzmienia twojego narzeczonego.

— Ależ to się zrobiło samo przez się, w bardzo naturalny sposób. Wiesz, jak go kocham!

— Tak, i skoro go poślubiasz, nie widzę w tem nic nagannego.

— A więc powiedziałam mu to... jak się stało, już nie pamiętam. Zdaje mi się, że płakałam, tak, ojczulku, płakałam jak naiwna pensyonarka. Czy to nie śmieszne?!

— Ja także bym zapłakał, gdybym miał pewność, ze to wpłynie na pomyślny bieg moich interesów.

— Toby się z ciebie wyśmiali. Ale wiesz, widocznie łzy moje wzruszyły go, bo już nie jedzie do Biarritz, a ja nie mam rywalki. Możesz oznaczyć teraz dzień ślubu.

— Już na pewno?

— Tak, tak!

— A więc dobrze, nie lękaj się. Skoro tak, to pojedziemy całą siłą pary. Urząd cywilny, ksiądz i będziesz hrabiną de Kermor. A suknia ślubna gotowa?

— Od dawna!

— Doskonale! Resztę już sam załatwię. Ktoby śmiał teraz stanąć w poprzek mojej drogi, ze mną będzie miał do czynienia. Teraz idź już i przystrój się na przyjęcie narzeczonego. Ja mam rachunki do ukończenia.

— Czy rachunki markiza dają ci wiele kłopotu, ojczulku?

— O! Najmniej! Parę zer do dodania dla zaokrąglenia sumy.

— A gdyby markiz baczniejsze oko skierował na twoje zdolności matematyczne?

— Niema obawy. Jest tak zajęty sobą i swojemi przyjemnościami, że mu to nawet na myśl nie przyjdzie. Idź już, dziecko! Nie przeszkadzaj mi!

— — — — — — — — — — — — — — —

W pracowni pani Wiktoryi pracowano gorliwie przy ukończeniu wyprawy i sukni ślubnej, zamówionej przez rosyjskiego bojara księcia Downakowa z Baku.

Jako model służyła Janina le Brenn. Na niej to pierwsza krojczyni pani Olimpia przymierzała i przykrawała przeróżne materye i batysty. Janina le Brenn w dobrej wierze poddawała się chętnie wymaganiom pani Wiktoryi, nie przeczuwając podstępu.

Innem jednak okiem patrzała na te przygotowania Luiza Rieux, posiadająca więcej doświadczenia od swojej przyjaciółki. Już w pierwszych dniach pobytu swojego w pracowni wzbudziła się niechęć i nieufność względem pani Collin-Megret, spotęgowana rosnącem z dniem każdym przywiązaniem do Janiny, którą uchronić pragnęła przed zgubnymi dla niej wpływami. Luiza więc bacznem okiem śledziła niejasną działalność pani Wiktoryi, gotowa w każdej chwili do wystąpienia z energiczną interwencyą w chwili sposobnej.

Przedewszystkiem nie uszło jej bacznej uwagi, że pani Wiktorya intencyjnie rozdzielała ją teraz z przyjaciółką pod pozorem, że nie posiadała wybitnych zdolności hafciarskich i przeszkadzać mogła tylko Janinie w pracy.

Pozamykała dokładnie drzwi, łączące obie sypialnie młodych dziewcząt i klucz od nich nosiła zawsze w kieszeni. Mogły się jednak od czasu do czasu widywać, przechodząc przez wspólny korytarz, lecz pani Wiktorya niestety posiadała słuch bardzo bystry i zawsze przeszkodziła ich poufnej rozmowie.

Dla Janki pani Wiktorya miała pewne względy, wyrażała się do niej uprzejmiej i przybierała wobec niej ton serdeczności macierzyńskiej, lecz dla Luizy była snrową i bezwzględną.

Pewnego dnia, zastawszy ją w pokoju przyjaciółki, obrzuciła ją ciężkiemi wymówkami.

— Znów zastaję cię tutaj — zawołała oburzona — Przeszkadzasz tylko Jance w pracy i nie pomyślałaś o tem, że narażasz ją na nieprzyjemne uwagi klientek, czekających niecierpliwie na zamówione przez siebie hafty. Zapowiadam ci, że masz Janinę pozostawić w spokoju.

— Ależ zaręczam pani — tłumaczyła się Luiza zmieszana — że Janina nie krępuje się wcale moją obecnością, nieprawdaż Janko?

— Oczywiście, moja kochana, nie tylko że nie przeszkadzasz mi, ale przeciwnie pracuję chętnie, rozmawiając z tobą. Pośmiejemy się trochę, zaśpiewamy i niech mi pani wierzy, robota moja nie tylko na tem nie cierpi, ale zyskuje.

— Właśnie, właśnie, te śpiewy, to wcale nie potrzebne, umiesz piosenki, które wcale nie są odpowiednie dla takich młodych dziewcząt, jak wy.

— Ależ pani się myli, zaręczam pani.

— Dobrze już, dobrze, wiem, co mówię, a Luiza doskonale mnie rozumie i wie dlaczego zrobiłam tę uwagę. Proszę cię, Luizo, wiesz doskonale, że nie życzę sobie, abyś źle wpływała na to niewinne dziecko.

— Proszę pani — odrzekła poruszona Luiza — zapewniam, że nigdy źle nie wpływałam na przyjaciółkę moją i złych rad jej nie udzielałam.

— Bardzo to możliwe, ale tymczasem proszę cię idź do swojego pokoju. Co zaś do twoich rad, zachowaj je lepiej dla siebie i staraj się na przyszłość do nich zastosować. Janina dzięki Bogu nie potrzebuje ich. Nie możesz się z nią równać. Przypomnij sobie przysłowie: „kto raz pił, pić będzie“.

Luiza z cierpliwością i uległością znosiła grubiańskie docinki swojej opiekunki. Czyniła to dla Janki, z którą rozstać się nie chciała i z obawy, aby raz jeszcze nie zostać bezwzględnie porzuconą na ulicy, której lękała się jak najgorszego zła. Niekiedy znowu pani Wiktorya starała się wytłumaczyć przed Luizą ze swojego surowego postępowania. Zdarzało się to wówczas, kiedy była w dobrym humorze.

— Widzisz, Luizo — mówiła wtedy — nie powinnaś tak do serca brać słów moich. Wszystko, co mówię i czynię, czynię jedynie dla dobra Janki. Jest uczciwą i dobrą dziewczyną, nie chcę więc, aby się popsuła. A ty, co innego. Spotkało cię nieszczęście, przypuśćmy, ze bez winy twojej, ale przyznasz, że nie mogę mieć do ciebie pełnego zaufania, tembardziej, że nawet nie uznałaś za stosowne wyjawić mi swojego nazwiska. Janka zajęta jest obecnie haftowaniem ślubnej sukni, a ty właściwie nic nie robisz. Przyszłaś już do zdrowia na tyle, że możesz wziąć się do jakiej pracy, bo rozumiesz, że cię już dłużej żywić nie mogę.

— Ależ ja chętnie podejmę się jakiego zajęcia — protestowała gorączkowo Luiza — Pani sama odsunęła mnie od wszystkiego.

— Bo nie umiesz nic robić, moja kochana. Trochę tego szycia, wyszywania, przyznasz, że to za mało. Chciałam właśnie rozmówić się z tobą. Może posiadasz choć język angielski, niemiecki?

— Po angielsku mówię dobrze i trochę po niemiecku.

— Doskonale! Jest tu właśnie sąsiad nasz, ten gruby piwowar z Monachium, który pragnie poduczyć się nieco francuskiego języka. To uczciwy i dobry człowiek o złotem sercu. Mogłabyś zająć się nim, a na dobre by ci to wyszło. Nie mogłabym w ten sposób mówić do Janki, ale do ciebie, to co innego, rozumiesz dobrze, co chcę powiedzieć.

— Rozumiem, ale dziwię się, że pani do mnie zwraca się z tą propozycyą. Ja przecież nie mogę podjąć się uczyć tego pana, profesorów języków nie brak zresztą w mieście.

— Nie brak również gąsek, które nie umieją korzystać z nadarzającej się sposobności. Propozycya moja leży w twoim interesie.

— Ależ ja nie pragnę interesów tego rodzaju. Pani wie, że nie dbam o pieniądze.

— Zapewne, jeżeli się posiada renty dożywotnie. Wkońcu, moja kochana, widzę, że nie dojdę z tobą do końca, bo trudno dla ciebie o odpowiednie zajęcie. A może znasz język hiszpański?

— Matka moja była Hiszpanką i od niej nauczyłam się tego języka.

— W takim razie powinnaś się udać do Buenos-Aires. Mam tam dla ciebie posadę sklepowej i tłumaczki.

— Nie, proszę pani — odparła stanowczo Luiza — Nie chcę wyjeżdżać tak daleko.

— A więc może do Anglii? Jest tam dosyć roboty dla ciebie. Jestem wspólniczką jednego wielkiego magazynu nowości. Znajdziesz tam zajęcie.

Luiza zastanowiła się chwilę.

— I tego przyjąć nie mogę — odparła po namyśle, przeczuwając, że pod propozycyą pani Wiktoryi kryje się jakaś zasadzka — Postanowiłam nie opuszczać kraju.

— Nie chcesz? Dobrze! — wybuchnęła pani Wiktorya, czerwieniąc się ze złości — W takim razie poproszę cię o opuszczenie mojego zakładu. Ja tu darmozjadów i panien na wydaniu trzymać nie mogę.

I trzasnąwszy drzwiami, wyszła pani Wiktorya, pozostawiając Luizę zaniepokojoną i smutną.

Wiedziała już teraz, że rozmyślnie nie dopuszczano jej do pracy w domu, aby zmusić ją do przyjęcia jednej z proponowanych jej posad i w tym celu także broniono jej przystępu do Janki, od której ją oddalić chciano.

Ale jeszcze tego samego dnia pani Wiktorya wbiegła do jej pokoju.

— Czy umiesz grać na fortepianie, moje dziecko — zapytała uprzejmie.

— Owszem — odparła spiesznie Luiza — Mam nawet w tym kierunku wybitne zdolności.

— No, nareszcie, przydasz nam się na coś — zawołała rozpromieniona pani — Posłuchaj mnie, moje dziecko, i zapomnij o poprzedniej naszej rozmowie. Sama przyznasz, że nie możemy tu zawsze żyć jak dzicy ludzie, nieprawdaż? A przytem musimy pomyśleć i o naszej klienteli. Otóż, moja mała, wydaję w tym celu jutro zabawę tańcującą, bal maskowy i proszę cię, abyś nam zagrała do tańca.

— Dobrze, proszę pani, zdaje mi się, że bez zarzutu wywiążę się z tego zadania — odpowiedziała Luiza.

— Widzę, że nareszcie nabrałaś rozumu. Cieszy mnie to bardzo. A więc rzecz już postanowiona. Zarezerwowałam dla ciebie ładny kostyum dyabełka, w którym ci będzie do twarzy. Chodź go przymierzyć, zobaczymy, czy czego nie brakuje.

— Przepraszam panią — zaoponowała znowu Luiza — ale w żaden sposób nie mogę się przebierać.

— A to znowu coś nowego! I dlaczego to, proszę cię?

— Bo jestem w grubej żałobie, jak pani widzi.

— Nie byłabym się domyśliła tego — syknęła ze złością pani Wiktorya — widząc twoją niebieską sukienkę.

— Bo nie posiadam pieniędzy, aby sobie kupić inną — odparła Luiza ze łzami w oczach.

— Widzisz więc, że będziesz sobie mogła zarobić na nową sukienkę. Kostyum jest czarny całkiem, zdejmiemy tylko czerwone wypustki, aby ci zrobić przyjemność. I po kimże to panienka nosi żałobę, jeżeli wolno wiedzieć.

— Po babce — odpowiedziała cicho Luiza.

— Po babce! Ależ to śmieszne, moja kochana. Tego nikt nie robi. Gdybyśmy chciały po wszystkich babkach i prababkach przywdziewać żałobę, ludzie by tylko uciekali od nas.

Łzy zabłysły w oczach Luizy na te bezwzględne słowa. Panowała całą siłą nad sobą, aby nie wybuchnąć i nic pogorszyć tym sposobem sprawy swojej i Janki. Wyszła więc w milczeniu i udała się do swojego pokoju.

Ale po chwili rozwagi, uznała, że źle uczyniła, drażniąc gniew pani Wiktoryi, która zapewne zechce się zemścić na swój sposób, i zapukała do drzwi jej mieszkania.

— Proszę pani — rzekła pokornie, stojąc na progu — przyszłam prosić o przebaczenie. Przyznaję, że niesłusznie postąpiłam. Obowiązkiem moim jest iść ślepo za jej rozkazem i starać się być pani użyteczną. Może zechce mi pani pozwolić przymierzyć ten kostyum.

Pani Wiktorya silnie zdziwiona niespodziewaną uległością swojej pupilki, spojrzała na nią uważnie.

— Oho! — pomyślała — potrafiłam przecież zgnieść dumę tej panienki. Za kilka dni będzie pokorna jak baranek.

— Widzisz, moja kochana — rzekła poważnie — że niepotrzebnie dokuczamy sobie obydwie, kiedy możemy tak łatwo dojść do porozumienia.

Pociągnęła Luizę do pracowni i pomogła jej przywdziać kostyum, od którego nie odjęła ani jednej wstażki i przybrania, nie domyślając się, że główną przyczyną nagłego usposobienia Luizy była chęć towarzyszenia Jance na ową zabawę i obronienia jej, gdyby tego zaszła potrzeba.

W przeddzień uroczystości.

Mały pokoik, zamieszkany przez Janinę le Brenn, został od dni kilku zamieniony na pracownię. Pani Wiktorya nagliła do pośpiechu, gdyż jak opowiadała głośno, nie mogła zawieść zaufania rosyjskiego bojara, którego córki spodziewała się z każdą chwilą. Księżniczka musiała zastać suknię ślubną i całą wyprawę gotową, tak było umówione i tak być musiało.

Tymczasem więc w zakładzie pani Wiktoryi pracowano gorliwie, a pracy tej często asystował sam książę, dając rady i wskazówki w imieniu córki swojej i małżonki.

Rozczulał się on coraz więcej nad zadziwiającem podobieństwem Janiny do córki swojej i przypatrywał się jej z lubością i podziwem, budzącym niechęć i pomieszanie młodej dziewczyny.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Sport w czasie wojny: Skok w dal (Fot. inż. M. Skibka).

Nina Dolli.

Wieczór poematów tanecznych Niny Dolli (Dolińskiej), zapowiedziany na dzień 1. października, da możność publiczności zapoznania się bliżej ze sztuką plastycznej interpretacyi muzyki, jak niemniej spędzenia mile wieczoru wśród artystycznych wrażeń. Wobec rozmaitych zapatrywań, a najczęściej niezrozumienia tej sztuki, należy zaznaczyć, że interpretacya plastyczna muzyki uzewnętrznia jej treść gestem i mimiką.

Sztuka ta wymaga nie tylko znawstwa plastyki ruchów, tańca i nieprzeciętnej muzykalności, ale wykształcenia ogólnego, a w szczególności muzycznego. Znajomości muzyki, psychologii, historyi, dramaturgii, mimiki i wielu innych studyów, przy specyalnym talencie, wymaga umiejętność plastycznego wykonania danego utworu muzycznego.

Występy Niny Dolli zagranicą, jak i w kraju, dały liczne dowody, że młoda artystka potrafi sięgnąć do szczytu artyzmu w swej sztuce. Ponadto urok młodości, wdzięk i wrodzona intelligencya pociąga mile widza. Spodziewać się należy, że występ ulubionej artystki dozna jak najszczerszego poparcia.

Bilety wcześniej nabywać można w magazynie p. Józefa Rudnickiego, Rynek gł. 44, Linia A B.



Nina Dolli.

Sport w czasie wojny.

Im dłużej trwa wojna, tem lepiej przystosowują się do jej nienormalnych stosunków wszystkie dziedziny życia. Tak stało się i ze sportem. Z początku wojny usiłowały kluby polskie rozbudzić na nowo życie sportowe. Ale na próżno. W minimalnej mierze udało się to we Lwowie (ale na krótki czas), gdzie w czasie inwazyi rosyjskiej kluby lwowskie złożyły z pozostałych członków drużyny footballowe, które, za każdorazowem pozwoleniem władz, rozgrywały między sobą zawody. Niedługo jednak i tę działalność musiały kluby lwowskie zawiesić. W Krakowie ruch sportowy został od początku podcięty. Boiska sportowe „Cracovii“ i „Wisły“ zajęte zostały przez wojsko (Cracovii) i przez gminę (Wisły). Wskutek długiego postoju trenu węgierskiego w parku sportowym „Cracovii“, boiska tego klubu jak również i trybuny niezmiernie ucierpiały. Te ostatnie zostały w większej części rozebrane. Działalności sportowej nie mogły więc kluby krakowskie nadal kontynuować.

Dopiero niedawno klub sportowy „Cracovia“, mimo wielkich trudności, zorganizował pierwsze od roku zawody sportowe. Dzięki uprzejmości i czynnej pomocy władz wojskowych złożono z sportowców, służących obecnie przy wojsku w Krakowie, drużyny footballowe, które rozegrały zawody footballowe na rzecz „Czerwonego Krzyża“.

Pierwsze lody zostały więc przełamane. Dzięki życzliwości kół wojskowych, a szczególnie J. E. pani Amalii Kukowej, zdołano rozbudzić w naszem mieście uśpione życie sportowe.



Smutny koniec „oswobodziciela“ Galicyi: Jen. hrabia Bobrinskij.

Ostatnie zawody sportowe, urządzone na rzecz wdów i sierot po poległych bohaterach polskich, staraniem garnizonu krakowskiego i gimnazyum III., a pod protektoratem J. E. pani Amalii Kukowej, miały niezwykle zajmujący przebieg. Zawody te obejmowały mało w Krakowie rozwiniętą lekką atletykę i football, w naszem mieście posiadający licznych zwolenników.

Przed licznymi widzami, wśród których przeważali wojskowi, przesunęły się wszystkie rodzaje lekkiej atletyki. Poszczególni uczestnicy zawodów wykazali, mimo braku należytego trenningu, wcale dobrą technikę i rutynę. Burze oklasków wywoływały emocyonujące skoki wzwyż o tyczce w wykonaniu porucznika Haberditza, który wyszedł z tej konkurencyi zwycięzcą, sięgając trzy metry sześć centymetrów. Wprowadzony u nas po raz pierwszy rzut granatami ręcznymi był odmianą znanego w lekkiej atletyce rzutu młotem. Również i biegi, tak studentów jak i żołnierzy, znalazły uznanie u publiczności.

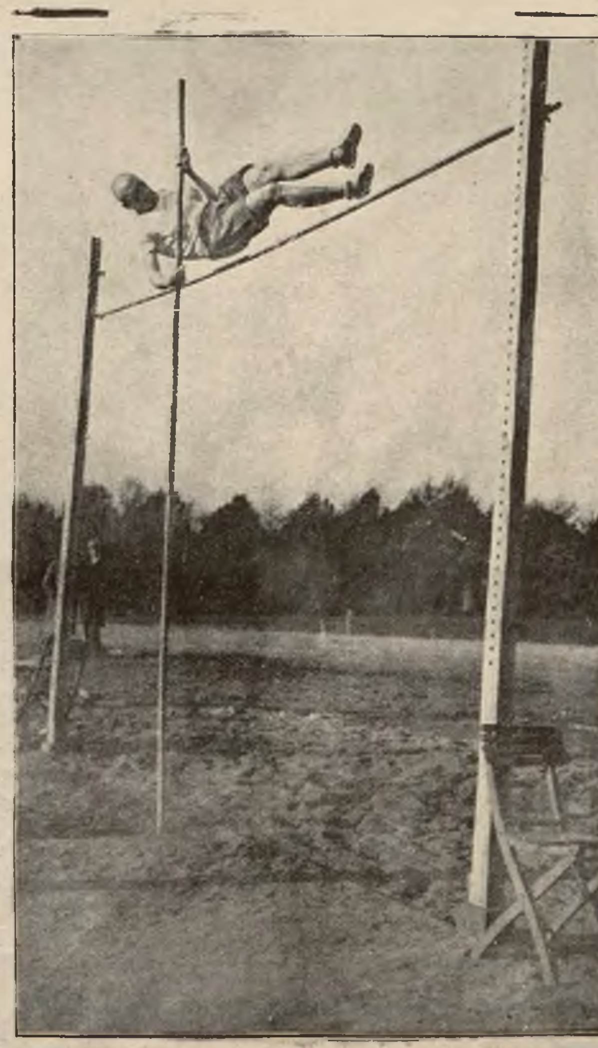
Po popisach w lekkiej atletyce nastąpiły zawody footballowe Cracovii contra drużynie wojskowej. Przebieg nie był zbyt interesujący. Graczom tak jednej drużyny, jak i drugiej brak było zgrania, wskutek czego wiele wcale ładnych kombinacyi poszczególnych graczy nie znalazło zrozumienia u drugich. Duszą zawodów tych był znakomity środek napadu Cracovii, Kowalski. Zawody zakończyły się wynikiem 0:0. *ws.*



Sport w czasie wojny: Zwycięzca w rzucie dyskiem.



Sport w czasie wojny: Zwycięzca w skoku wzwyż por. Rud. Grätzer. (Fot. inż. M. Skibka).



Sport w czasie wojny: Zwycięzca w skoku wzwyż o tyczce porucznik Haberditz.

Kronika tygodniowa.

Ponieważ pisma codzienne zaczynają stale swe kroniki od pogody i nigdy się prawie nie mylą, gdyż podają z zasady sprawozdania z dnia poprzedzającego i ja, idąc w ich ślady, zaznaczam na wstępie, iż w ubiegłym tygodniu, aczkolwiek przypadała narodowa uroczystość „Kuczek“, pogoda utrzymała się dość znośna. Jest to pono zły prognostyk dla dziatwy Izraela, jeśli bowiem w tym czasie nie kapie z niebios, ma to być znakiem, że następny rok będzie obfitował w różne „paskudne“ choroby, zwłaszcza te, które wywołują swędzenie skóry i koniecznie wymagają drapania.

W niedzielę zanosiło się już na deszcz, Krakowianie spieszyli więc tłumnie po parasole, gdy zaś z nimi pojawili się na plantacyach, na niebie zajaśniała tymczasem tęcza. Wobec tego rozpogodziły się i miny spacerowiczów. W samym parku Jordana naliczyłem siedmdziesiąt sześć czułych par, w wieku od lat czternastu do sześćdziesięciu, uważam więc za nieprawdziwe twierdzenie niektórych, iż asenterunki zabrały nam już całą młodzież, która jest, jak to mówią „do rzeczy“.

Natomiast nie udał się w zupełności odpust w Mogile, dokąd spieszyły rok rocznie tłumy Krakowian i okolicznych wieśniaków. Dla mieszczucców była to ostatnia zazwyczaj wycieczka zamiejska, wybierali się też na nią z koszami prowiantów i radowali się pod gołem niebem, jak umieli. Zwolennicy sportu używali przejażdżki na karuzeli, więcej uczuciowi gruchali parami w lesie, starsi popijali, jako iż to każdy z nas prawie wychowany był „na flaszecze“, dzieci gapiły się na różne „cuda“ rozłożone na straganach.

Tego roku nic z tego! Mogiła przez cały tydzień świeciła pustkami, karuzeli ani jednej, stragany tylko cztery. Jak mi opowiadał pewien nabożny pątnik, który przecież, szanując tradycye, podążył pieszo na miejsce, wszystkiego sprzedano dwa serca z piernika.

Wojnę więc widać i tutaj, skutki jej odbijają się nawet na tak niewinnym przemyśle, jak piernikarski, podczas tego rodzaju odpustów obchodzącym prawdziwe żniwo.

Każdy elegancki facet, czy on był z Podgórza, Kleparza, czy choćby Nowej Wsi lub Łobzowa, musiał swej wybranej kupić piernikowe serce z odpowiednim napisem. Najczęściej spotykałem, (gdyż i ja w młodych latach nieraz to robiłem), następujący:

„Serce moje i Twoje
Boże połącz w kupę dwa!“

Im miłość była goretsza, tem i większe serce, byli młodzieńcy, takie prawdziwe „krowoderskie zuchy“, którzy kupowali nawet po kilka okazów rozmaitej wielkości i jakości.

Dziś ich jednak brak, wspomnienia z Mogiły rozpamiętują nasze poczciwe Staszki i Antki gdzieś w rowach strzeleckich, zdala od rodzinnego miasta i od swych „najdroższych“, które z utęsknieniem oczekują na rychły powrót tych, w całem tego słowa znaczeniu bohaterów, co to pokazali, że są jednakowo dobrzy i „do wybitki i do wypitki“ i sporo szczerb narobili na grzbiecie Moskalowi.

Co się jednak odwlecze, to nie uciecze! Zeszłoroczną i tegoroczną „Mogiłę“ odbiją sobie z procentem po szczęśliwym, da Bóg, powrocie na przyszły rok...

Wobec tego naturalnie i ja w Mogile nie byłem, aczkolwiek moja stara była tego zdania, że przyniosłoby to nam obojgu cielesny i duszny pożytek. Brakło jednak gotówki na opłacenie dorożki, a trudno na stare lata piechotą drałować. nie było też prowiantów, którymi co roku wypychało się kosz, a na miejscu żołądek.

To wszystko też uważanem być musi za mające przyczynowy związek z wojną, gdy więc Weronisia zapytała mnie skromnie, czy tego roku pojedziemy na odpust, pokazałem jej tylko, nie mówiąc ani słowa, na bezdenną próżnię w swym pugilaresie.

Zrozumiała ten wymowny gest, nie oponowała też wcale, ale dodała smętnie:

— To szkoda! Wielka szkoda! Bo ja przygotowałam już kosz na drogę...

— Możemy to zjeść tutaj, na miejscu...

— Ba... kiedy w koszu jeszcze nic niema! Myślałam, że kupisz, jak co roku.

I na to nie odpowiedziałem, wyjąłem natomiast z kieszeni najnowsze wydanie taryfy maksymalnej i podsunąłem jej pod nos.

Aż się babsko za głowę chwyciło, gdy wyczytała najrozmaitsze pozycye! Wszystko drożeje, nawet wędliny, cała też w tem nadzieja, że znowu mają wyznaczyć dwa dalsze dni urzędowego postu w tygodniu, wobec czego przez dwa dni będzie każdy obowiązanym wstrzymać się od używania mięsa, a przez dwa wogóle od jedzenia. To nam może wyjść tylko na zdrowie, powściągliwość bowiem w jedzeniu i piciu jest wskazaną tak przez Ojców Kościoła, jak i nowoczesnych hygienistów.

Gdyby to można było objeść się bodaj chleba, aby „Maciek nie mruczał“... Niestety! Mąki brak, piekarze już drugi tydzień jęczą, a choć zapasy, jakie otrzymali z magistratu, miały im wystarczyć przynajmniej na trzy tygodnie, dziś już powiadają, że się kończą, i że wobec tego będą musieli zaprzestać wypiekania chleba i pigułek, nie wiem dlaczego nazywanych bułkami.

Jako karmę zastępczą dla drobiu uznano jakieś tam liście i korzonki i kazano je zbierać i suszyć na zimę, o ludziach dotąd nie pomyślano.

Magistrat ogłasza wprawdzie od czasu do czasu komunikaty Biura aprowizacyjnego, w których podaje do wiadomości ogółu, że sprowadził aż cztery gęsi dla mieszkańców, co jednak uratowało ongi Kapitol, to dziś w Krakowie nie znajdzie zastosowania. Bo zresztą i któż sobie może pozwolić na taki zbytek, jak gęś?... Co najwyżej kamienicznik, albo jaki dostawca, który się dorobił majątku na wojnie, ale nigdy zwykły, przeciętny śmiertelnik.

Zresztą z gęsiami dzieje się tak samo, jak i z mąką. Bogaci wykupują wszystko hurtownie, dla biedniejszych nie zostaje nic. Sam widziałem podczas sprzedaży magistrackiej mąki, której, jak wiadomo, jedna rodzina mogła rzekomo kupić tylko pięć kilogramów, by i dla innych coś zostało, jak tatko kupił pięć kilo, mama pięć, służąca. najstarsza córka, syn, babcia i ciocia także po pięć, trzeba bowiem pamiętać i o „czarnej godzinie“.

Perswadowałem im, że mąka może się tymczasem w domu zepsuć, odpowiedziano:

— A niechta! Wiem jednak, że z głodu nie zginę!

— Bardzo ładnie! Ale inni nie będą mogli z tego dobrodziejstwa korzystać... — tłumaczę.

— Co mnie inni obchodzą! Myślmy tylko o sobie, bo bliższa koszula ciała, niż...

— Kalosz! — dorzuciłem, przypominając w ten sposób dzień kauczukowo gumowo wełniany, który został naznaczony na początek października.

Ba!... Gdyby to tylko mąki brakowało! Brakuje już także i różnych gatunków tytoniu, a bez tego nie obejdzie się bardzo wielu ludzi, którzy raczej wolą nie jeść i nie pić, zapalić jednak muszą.

Onegdaj byłem w głównej trafice Bujańskiego na Rynku.

W sklepie ścisk, że trudno znaleźć dla siebie miejsce. Są tu młodzi i starzy, są mężczyźni i niewiasty. Każdy chciałby kupić, co drugi odchodzi z kwitkiem. Sam właściciel zwija się, jak mucha w ukropie, panna Zosia biega od półki do półki — niestety — przekonuje się, że tego lub owego artykułu brak...

— Prosiłbym o pudełko „*Hercegowina-licht*“! — powiada jakiś facet.

— Bardzo żałuję, brakło! — brzmi odpowiedź zza lady.

— Jak to może braknąć? — zaczyna się gniewać konsument.

— Tak, że z fabryki nie nadesłano! Ja na to nic nie poradzę... Skreślono z zamówienia kilkanaście tysięcy...

— Cóż ja będę w takim razie palił?

— Proszę poczekać kilka dni, może tytoń na dejdzie! Produkcya ograniczona, brak rąk do pracy... Jadę w tych dniach do Wiednia, może tam uda mi się sprawę jako popchnąć, by przecież zadowolić klientelę...

Tam znów stoi starowinka, która, wracając z kościoła świętej Barbary, wstąpiła po tabaczkę.

— Prosiłabym o paczkę tabaczki!

— Wyszła...

— A dawno? Z kim?...

— Jak to z kim?... Wyszła, to znaczy brakło!

— Aha! Rozumiem, Rozumiem! A cóż ja będę zażywać?... To jedyna moja przyjemność na starość... Dawniej, gdym była młoda, to co innego, na stare lata została mi tylko tabaka...

To rzekłszy, łypnęła okiem na pana Wawrzyńca, a on, aczkolwiek też leciwy, podkręcił tylko wąsa i powiada:

— Moja pani! Trudna rada! Chętniebym pani sprzedał, bo na to mam towar, ale skądże wezmę! Proszę się zgłosić za kilka dni, może tymczasem nadejdzie!

— Panie radco kochany! Proszę o mnie pamiętać! Ja codziennie pomodlę się za pana, by panu się powodziło i miał pan dużo pieniędzy... Ale proszę nie zapomnieć, bo ja bez tabaczki to i żyć nie potrafię...

Dygnęła, zabrała książkę do modlenia, torebkę i parasolkę, spojrzała tęsknem okiem na półkę, gdzie za lepszych czasów leżały paczki z tabaką, a skąd dziś świeci pustka i zatrąbiła do odwrotu.

A takich, jak ci dwoje, przesunęły się setki, między nimi i kronikarz, który także odszedł z kwitkiem, przedtem jednak wyraził współczucie panu Bujańskiemu za to prawdziwe, a nie zasłużone umęczenie przez bezbożnych palaczy-Filistynów.

— Żal mi pana! — zauważyłem.. — Czy na to niema rady?

— Niestety! Będzie jeszcze gorzej — odparł. — W bieżącym roku bardzo mało tytoniu z powodu wojny uprawiano, dowóz z zagranicy równa się zeru, zapotrzebowanie zaś, zwłaszcza dla wojska, wzrasta! Z każdego zamówienia dostaję tylko część minimalną, choć fabryka stara mi się, o ile możności, iść na rękę... Publiczność się gniewa, wiem o tem, ale ja winy nie ponoszę!

Co jednak gorsze, zaczynają tu i ówdzie przebąkiwać, że w krótkim już czasie podrożeje tytoń, wobec czego biedna nasza kieszeń znów bolesny szwank poniesie, a jak już wyżej wspomniałem, wielu ludzi potrafi sobie wszystkiego odmówić, ale nie palenia...

Ale, jak wojna, to wojna...

A tutaj, jak ów miecz Damoklesa, wisi nad karkiem owo moratoryum, które, jak wnoszę, będzie zapewne zniesione i to bardzo prędko, onegdaj bowiem spotkałem jednego ze znajomych adwokatów, który dotąd stale narzekał na bezrobocie, a tego dnia kupił całą pieczoną kurę (nadziewaną kaszką — niech poświadczy p. Mieczysław) i zaniósł ją do domu.

Jest to najlepszy dowód, że stosunki, o ile to dotyczy adwokatów, muszą się poprawić, a oni sami powiadają, że dopiero wtedy zaczną naprawdę żyć, gdy moratoryum wezmą wreszcie raz dyabli.

Jako dowód zaś, że ludzie cierpią rzeczywiście biedę, niech posłużą ci panowie, którzy chodzą po różnych lokalach i tam napastują znajomych adwokatów, prosząc o poradę w różnych dolegliwościach prawnych. Gdyby mieli pieniądze, nie pytaliby o to w tak nieodpowiednim miejscu, widać więc, że nie mają, skoro tak czynią... Są jednak w błędzie, jeśli sądzą, że ich to nic nie będzie kosztować, ani się bowiem spostrzegą, jak z kancelaryi dra X. lub Y. otrzymają rachuneczek tej treści:

„Za konferencyę w sprawie takiej a takiej, dnia tego i tego, odbytą z Wielmożnym Panem w handlu „pod Obrazem“ (może być i „u Hawełki“) koron dwadzieścia, o których odwrotne wyrównanie uprzejmie proszę. Za list niniejszy należy się 2 kor. 35 hal.“

Poszukiwanie rodziny i krewnych.

Michał Todt, feldwebel z Przemyśla, wzięty przez Rosyan w dniu 22. marca b. r. do niewoli, przebywa obecnie w mieście **Berezówka** gubernii **Zabajkalski-oblast** na Syberyi, **barak Nr. 354**. Jest zdrów i nie ranny. Krewnych i znajomych uprasza o wiadomości pod podanym wyżej adresem. Można pisać po polsku.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Z drugiego-pierwszego produkcyą się znamy,
Używając jej, sławne „niech żyje!" wołamy.
Drugie-trzecie miasta, choć ich nie znajdziecie
W atlasie, to jednak *pierwsze wspak i trzecie*
Tam napewne spotkacie! Góry to niemałe,
A od ich odszukania zależą i *całe!*

Logogryf.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko polskiego powieściopisarza.

☐ — — —
☐ — — —
☐ — — —
☐ — — —
☐ — — —
☐ — — —
☐ — — —
☐ — — —
☐ — — —
☐ — — —
☐ — — —
☐ — — —
☐ — — —
☐ — — —
☐ — — —

Znaczenie wyrazów: 1 Drzewo liściaste. 2. Ptak. 3 Panujący. 4. Moneta. 5. Gatunek psa. 6 Zabawa towarzyska. 7 Napój alkoholowy. 8. Metal. 9 Napój. 10. Część uprzęży. 11. Kolor. 12 Miasto w gubernii radomskiej. 13. Moneta 14. Zwierzę owadożerne. 15. Kwiat.

Równanie.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć tyle zgłosek, ile ich wskazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu pseudonim polskiego powieściopisarza, w drugiem tytuł jego dzieła.

$$\frac{m}{3} + \frac{n}{4} = x$$

$$\frac{r}{4} + \frac{s}{3} = y$$

Znaczenie wyrazów: m) Napój ochładzający. n) Ozdobny przyrząd do oświetlania. r) Instrument muzyczny. s) Grzyb trujący.

Trójkąt magiczny.

Ułożył J Nowogrodzki, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko jednej ze stolic europejskich.

☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐ ☐
☐ — — — — —
☐ — — — —
☐ — — —
☐ — —
☐ —
☐

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2 Szyderstwo. 3 Miasto nad Dunajem. 4 Postać z dziejów Polski. 5. Rzeka na Śląsku 6. Przyimek. 7. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Duch ma kanie w słomianej kiesie. U.

Łamigłówka.

Ułożył Jan Putek, Kraków

Uzupełnić podane wyrazy. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda okrzyk sprzymierzonych armii, którego bardzo boją się Moskale.

Wi - da
tr — wa
ła—ka
kr - da
ka - ar
ml — ko
ka — ło
ma — ka
so — ól
st - ła
ma — ka
ze — ar.

Okienko.

Ułożył A. Marczyński, Kraków.

Litery poprzestawiać w ten sposób, aby utworzyły wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	a	a	a	c
c		c		i
l	i	i	ł	n
n		n		n
o	o	r	r	w

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto nad Morzem Czarnem. 2. Pierwszy misyonarz w Chinach. 3. Istota duchowa

Zadanie do przestawienia.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Becz apaszu na ogon klowna! Spać!

Bilety wizytowe.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

L. Z. MARECKA

EMANUEL PROT Ł SOPAD

GWIDO A. A. U APĄCOWICZ

RAJMUND OTTO K. KYWAROW.

ALOJZY RUFUS Y. JENCK.
KOWNO.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Janusza B.:* **Cerkwie drewniane w okolicach Lwowa.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 38.

Zadanie do przestawienia: Nie każdy kąsa, kto wąsami trząsa.

Równanie:
Przymiotnik + ża**by** + po**szew**ka + bas**ki**na = **Przybyszewski.**
Złocień + chryzan**te**ma + **ru**mianek + sy**no**garlica = **Złote runo.**

Trójkąt magiczny:

O l g a B o z n a ń s k a
L e l u m P o ł e l u m
G i n e k o l o g i a
A r c y b i s k u p
B a l s a m i n a
O k u l i s t a
Z o o l i t y
N a w i a s
A r s e n
N o m a
S ó l
K u
A

Zadanie do przestawienia: Datkiem datek się wysili.

Okienko:

K	o	m	ż	a
o		a		g
m	a	r	t	a
ż		t		w
a	g	a	w	a

Przysłowiówka: Nie pomoże wronie kąpanie, a krukowi mydło

Łamigłówka:

Car
o**h**m
tł**o**
a**c**h
hak
E**ł**y
El**i**
o**k**o

Zadanie do przestawienia: Chcąc co wielkiego zbudować, nie trzeba pracy żałować.

Zadanie do przestawienia: Próżna beczka zawsze głośniejsza, niż pełna.

Bilety wizytowe: Płatniczy. Polihistor. Belletrysta Elektromonter. Kustosz muzeum.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków. M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki. J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J Buczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga. K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, H. Królicki Nowy Sącz, R. Królicki Krościenko n D.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Broda, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Komitet Polskiego Archiwum wojennego. Z powodu powołania do kraju przeważnej części członków Komitetu Polskiego Archiwum Wojennego okazało się koniecznem przenieść Zarząd jego do Lwowa Zbiory archiwalne oraz główna składnica materyałów pozostają nadal we Wiedniu, aż do czasu, kiedy będą mogły być przewiezione do miejsca przeznaczenia w Polsce, którego jednak przed końcem wojny przesądzać nie można. Opiekę nad zbiorami we Wiedniu, przeniesionemi do nowego lokalu przy Wallnerstr. 1a (mezz.), objął Komitet miejscowy, w skład którego weszli pp: radca dworu Łoziński, radca szkolny Resl i pułkownik Hajdecki.

Adres Zarządu: dr. Władysław Semkowicz, Lwów, ulica Zamojskiego 14 Wszelkie materyały i datki adresować należy: Komitet Polskiego Archiwum Wojennego (Polnisches Kriegsarchiv), Wiedeń, I Wallnerstr. 1a (mezz.).

Kącik humorystyczny.

Est modus in rebus.

Pijak wychodzi ze szynku i na progu namyśla się, czy się wrócić jeszcze na jedną kwaśną z mocną, czy też iść do domu. Wkońcu stuka w palce i mówi: „Pójść, nie pójść, pójść, nie pójść". Wypada mu nie pójść, rozzłoszczony mówi więc do siebie:

— Psiakrew, choroba! Wypada nie pójść, na złość pójdę — i wrócił się.

Potrzebny uczeń do drukarni i kliszarni Nowości Illustrowanych.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.